Nr. 9 (1209). Warszawa, 14 (27) Lutego 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem).
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Zobowiązania angielskie.

Jeżeli materyalny wybuch wojny nosił na sobie znamiona wypadku na dany moment czasu niespodziewanego, sama wojna nie powinna była być dla nikogo niespodzianką, a najmniej dla dyplomatów, którzy na tajemne nawet akta umieją zawsze zerknąć zukosa i wyczytać to, co dla laika w dyplomacyi, dla pospolitego śmiertelnika tajemnicą pozostać musi. Niema już co mówić o Francyi, że musiała ona znać wojenne naprężenie piórami prowadzonego sporu; ale i te Prusy, które ustami ministrów swoich w rządzie i artykułami [illegible] swej opinii publicznej w dziennikarstwie zaręczały zaraz po wybuchu, że był dla nich nieprzewidzianym—nie mogły być tak ciemnemi, jak biedny chudzina czytelnik europejski, żywiony tylko frazeologią zakrywającą rzeczywistą prawdę. Sam fakt korespondencyi cesarza Wilhelma wskazuje, że i Prus nie zaskoczyła wojna nagle i że [illegible] kwietyzm, który się tak nie podobał dziennikarzom berlińskim wtedy, gdy na Wschodzie azyatyckim wybuchały już torpedy i grzmiały działa, nie był rzetelnym: udawały go, aby lepiej upozorować swoją nierzetelną neutralność w wielkim dziejowym sporze.

Ogłoszony w angielskiej Księdze Błękitnej zbiór not wymienionych przez Anglię, Rosyę, Stany Zjednoczone i Japonią w kwestyi Mandżuryi, zbiór obszerny, ze 163 aktów złożony, przynosi niezbity dowód nieuchronności wojny. Na nic się nie zdała, aż pod koniec r. 1903 panująca w korespondencyi kanarkowa łagodność lorda Lansdowne'a: stosunki w rzeczywistości zaostrzały się coraz bardziej, chociaż sam spór przybierał, dzięki temperamentowi ministra angielskiego postać topniejącego masła. Ale i temu ministrowi w sporze innym, jednocześnie toczonym, w sporze o misyę Younghusbanda do Tybetu, wymknęło się w grudniu r. z. słowo, które już bez fałszu uderzyło w ton rzeczywistości, a przenosiło myśl z Tybetu na Mandżuryę. Francuzom musiał przypominać zobowiązanie z d. 8 października 1902 r. dopiero jakiś historyk, nauczyciel szkoły normalnej; Anglia ani na chwilę zapomnieć o niem nie mogła, a pamiętając, ostatecznie korespondencyą swoją wzmocniła jeszcze to przeciwstawienie się Rosyi, które zasadniczo w sobie stwierdza umowa anglo-japońska z d. 30 stycznia 1902 r. Prasa rosyjska słusznie uważa Anglię za nieprzyjaciółkę Rosyi nawet ze stanowiska psychologii; można wyrozumieć jej niehistoryczne podejrzenie jakoby Anglia popchnęła Japonię do wojny.

Aż nadto dobrze wiadomo wszystkim, że chociaż państwa w umowach zupełnie dobrowolnych pomiędzy sobą przeprowadzają swe interesa, co innego jest umowa, a co innego interes, jako punkt oryentacyjny lub pobudka do działania w sprawie, i że polityką rządzą, nie najuroczystsze choćby i najświętsze umowy, ale najrzeczywistsze, przedmiotowo może płytkie, płytko pojmowane, ale podmiotowo najgłębiej odczuwane interesy. To odczuwanie będzie zawsze i wszędzie główną sprężyną życia. I w obecnym też wypadku nie to, o co Anglia umówiła się z Japonią, ale to, co jeszcze jako interes swój w danej chwili najgłębiej odczuwa, nada kierunek jej dalszej polityce. Umowa zwalnia ją od wszelkiego współdziałania, dopóki Japonia walczy z samą tylko Rosyą; ale odczuwany interes może jej nakazać rozszerzenie tej umowy na wypadek w niej nieprzewidziany — zupełnej, byt polityczny wstrząsającej klęski japońskiej. Każda ze stron walczących ma sprzymierzeńca, każdy z obu sprzymierzeńców obowiązany jest ruszyć się, gdy poruszy się drugi: zagadnienie zatem ograniczenia wojny w zakresie umów do dwu tylko państw, już walczących, jest niejako zagadnieniem statyki, usiłującej utrzymać Anglię i Francyę we wzajemnej równowadze: porwie się Anglia, porwie się zaraz i Francya. Z jednej strony równowagę utrudniać będzie zawiść panująca od czasów Edwarda III i Filipa Walezyusza w dziejach tych dwóch narodów, kroczących na czele cywilizacyi, a tą zawiścią niesłychanie jej szkodzących; ale zato z drugiej ułatwi ją interes Rosyi, która, mając przeciwko sobie przeciwnika słabszego, będzie wolała sama się z nim rozprawić, aniżeli mając za sobą czynną już Francyę, ujrzeć przeciwko sobie czynną też Anglię.

Ponieważ na umowie japońsko-angielskiej opierają się literalne zobowiązania Anglii do wystąpienia zbrojnego, a umowa ta jest albo wcale nieznana, zupełnie zapomniana, albo też błędnie lub niedokładnie przypomniana obecnie została, nie bez pożytku więc będzie przypomnienie jej w takiej postaci, w jakiej ją rząd angielski d. 11 lutego 1902 r. ujawnił. W art. I obie strony zobowiązują się przedsięwziąć odpowiednie środki dla obrony swych interesów przeciwko zaczepnemu postępowaniu innego jakiegokolwiek mocarstwa, albo też w razie zamieszek w Chinach i Korei, jeżeli wskutek nich oba państwa zmuszone będą interweniować dla obrony swych poddanych. Art. II w razie wojny jednej ze stron z innem jakiem mocarstwem zastrzega jak najściślejszą neutralność dru-

giej, która starać się winna o to, aby inne mocarstwa przeciwko jej sprzymierzeńcowi w krokach nieprzyjacielskich nie uczestniczyły. Art. III. W wypadku takim sprzymierzeniec podąży z pomocą sprzymierzeńcowi, wspólnie z nim wojnę prowadzić będzie i za wspólnem tylko porozumieniem się pokój podpisze. Art. IV Żaden ze sprzymierzeńców nie zawrze z innem mocarstwem żadnej osobnej umowy na szkodę interesów zasadniczych (*status quo* w Azyi Wschodniej, pokój oraz niepodległość Chin i Korei) bez zapytania się drugiego. Art V. O wszelkiem zagrożeniu tych interesów jedna strona będzie dawała drugiej jak najzupełniejsze i najbezwzględniej prawdziwe wiadomości. Art. VI. Umowa ta ważną jest na lat pięć, ale gdyby przed tym terminem wybuchła wojna, na stronie nieuwikłanej w nią ciąży obowiązek dotrzymywania umowy i po upływie lat pięciu, aż do zawarcia pokoju. Jest to więc najformalniejsze przymierze, nawet nietylko odporne, owszem, zaczepno-odporne, zupełny traktat a nie konwencya, za jaką nieraz uchodzi, i traktatem też nazwał ją lord Lansdowne, wykładając treść jej lordom w d. 13 lutego 1902 r. Taka jest umowa, ale, powtarzamy, polityką rządzą interesa, a przypomnieć też wypada słowa Mommsena, że światem rządzą namiętności.

Z Dalekiego Wschodu.

Taku. — Tien-tsin. — Pekin. — Szan-haj.

(Ciąg dalszy).

Pierwszy pociąg z Pekinu do Tien-tsinu wychodzi o 7 rano. Było nieznośnie zimno, gdym wyjeżdżał i wiatr północno - zachodni dmuchał zażarcie.

Pociąg biegł środkiem miasta: teraz dopiero uprzytomniłem sobie ogrom Pekinu. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się szeroki, wielki, zębaty mur miejski i ginął we mgłach. Po nad nim strzelały krępe wieżyce bram, ale nic więcej. Nizki rój ulic i domków miejskich z ogrodami i świątyniami krył się bez śladu za potężną, ceglaną ochroną. Z okien pociągu widać było jedynie przedmieścia, podobne zupełnie do śródmieścia, takie same szare, brudne, zakurzone, jeno mniej ludne i bogate. Zaraz za niemi zaczynały się rozległe cmentarze, podobne do wielkich kretowisk—nagie, smutne, bez drzewka i upiększenia. Osławiona synowska miłość wyrażała się tylko w większych rozmiarach wzniesienia, usypanego na postawionych pośród pola trumnach ojców. Bardzo rzadko dostrzedz można gaik sosnowy na wzgórku z rodzinnymi grobami, okopanymi zwykle z jednej strony półkolistym wałem. Cmentarze bezpośrednio mieszają się z polami i wioskami, gęsto rozsianemi po okolicy. Dużo samotnych mogił stoi wśród pól, jeżeli tam wróżbita wskazał im miejsca. Dokoła wsi i na miedzach pól ciągną się wszędzie gaje i szpalery drzew, przeważnie wierzbiny, którą rok rocznie strzygą tu na opał, jak owce. Wioski szare są zbudowane z mułu i mułem pokryte. Bardzo rzadko daje się spostrzedz dom z wywiniętym, krytym dachówką dachem. Rzadziej jeszcze trafiają się świątynie z czerwonemi wrotami. Na polach zieleniła się posiana w bruzdach ozimina i grzędy niezebranej jeszcze w wielu miejscach sałaty, którą Chińczycy kwaszą, jak my kapustę. W wielu miejscach nad zasiewami widziałem ukośnie pochylone tarcze trzcinowe od wiatru. Uprawa gruntów wszędzie wyborna. Na drogach dużo przechodniów, kutających zmarzłe ręce w szerokie rękawy, dużo dwukołowych, krytych biedek, ciągnionych przez osły i muły. Na rolach oracze szli w kłębach kurzu i wichury, odwracając skiby. Na stacyach, pokrzykując, wciąż wsiadali i wysiadali zziębnięci Chińczycy. Tuż koło samego Tien-tsinu przyniesiono przed nasz wagon piękną lektykę; urzędnik, z kryształową gałką na czapce, zrobił w niej siedzenie; inny przyczepił do jej boku jakiś znak z piór, poczem ukazał się poważny Chińczyk w malinowej kurmie z kolorowym, generalskim znaczkiem. Wsiadł, tragarze podnieśli lektykę i ruszyli szybko; za stacyą, na drodze, widziałem, że przyłączył się do nich orszak jezdnych i pieszych. Był to znaczny urzędnik, podobno główny inspektor szkół...

— Cywilny... Powiedziano mi, że cywilny!.. — rzekł z pewnem zdziwieniem młody, niemiecki oficer, który jechał w jednym ze mną przedziale.

W Tien-tsinie dowiedziałem się, że wszystkie statki do Szan-haju już odeszły i że nowa okazya będzie dopiero za dwa tygodnie. Pozostawał jedynie chiński parowiec, „Taishun," należący do towarzystwa „China Merchant." Agent towarzystwa upewniał mię, że tam czysto i dobrze:

— Zupełnie po europejsku!..

Wierzę nawet, że „China Merchant" szczerze pragnęli, aby tak było, ale... między najczystszym Chińczykiem i przeciętnym Europejczykiem widocznie zachodzi taka sama różnica, jak między Anglikiem, który kąpie się codzień, i chłopem polskim, używającym kąpieli raz na parę lat. Nie radzę podróżnikom, wrażliwym na przykre zapachy i trochę „popielate" sprzęty oraz pokarmy, żeglować na statkach chińskich. Bez względu na kołysanie się, można dostać morskiej choroby od nieznośnego odoru, jaki przenika te parowce od palących opium pasażerów i załogi okrętu.

Wiedziałem o tem, ale wyboru nie miałem. Przed świtem wyruszyliśmy z Tien-tsinu, spiesząc, aby w południe stanąć w ujściu rzeki i w czasie przypływu przebyć słynny „bar." Pogłębiono go, ale zawsze zbyt mało i statki morskie przejść go mogą tylko w dużą wodę.

Nasz statek nie był wielki, ale na wązkiej Paj-ho wydawał się potworem. Fala biła odeń wysoko w oba brzegi, łamiąc namarzły w czasie nocy lód. Gwizdawka wciąż była czynna, strasząc łodzie i wielkie „dżonki," płynące naprzełaj. Paj-ho strasznie się wije. Wodę ma żółtą i w żółtych, jesiennych brzegach, porosłych żółtemi wierzbami, usianych szaro - żółtemi wioskami w ten złoty dzień listopadowy, wydała mi się doprawdy podobną do lśnią-

---

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Dostałam wczoraj kartę od Obojańskiego, że przyjechał. Za cztery dni wyjeżdżam. Muszę zobaczyć teraz Rosławskiego — napewno jest już w Warszawie. Ogarnia mię jakaś gorączka niecierpliwości.

Po powrocie rzucam się w amazonce na kanapę w salonie.

Marta odbywa swą zwykłą wędrówkę między śpiżarnią i piwnicą, Janusz poszedł przebrać się do kolacyi, dziadek pewnie gdzieś śpi. A ja szaleję z niecierpliwości ujrzenia tamtego. Kopię nogami poręcz kanapy, targam włosy i cicho łkam bez łez.

Jestem zupełnie nieszczęśliwa. Wiem teraz coś nowego: żal mi stąd odjechać, żal Janusza.

Coś mi się w duszy drze, drze — na kawałki, na małe strzępy.

Słyszę kroki Janusza. Przybieram ładną, półleżącą pozę, poprawiam włosy, ale nie wstaję z kanapy.

Już pan gotowy? — konstatuję tonem zapytania, bezmyślnie i ze złością.

On nie odpowiada, zbliża się do mnie cichymi krokami, w postawie pełnej zapamiętałego kultu, jak bałwochwalca do bożka. Później klęka przede mną, bierze łagodnie moje ręce i delikatnie opiera na nich czoło. Nie cofam rąk i mimowoli pochylam się nad nim.

— Słuchaj, Janko — mówi głosem miękkim, łamiącym się od tłumionego łkania — powiedz mi, że chcesz być moją żoną, powiedz, ukochana... Widzisz, coś ze mnie zrobiła... Śmiałaś się, że byłem trzeźwy, że płytko brałem życie, śmiałaś się z mej bezmyślnej *joie de vivre*... Zmieniłem się... Jestem podobny teraz do ciebie, do całego tego waszego świata. Czyż kiedy dawniej pomyślałbym tu o sobie? Przecież ja dzisiaj, jak dziecko, zanoszę się od płaczu na myśl, że ty odjedziesz, Janko... Przecież mnie po za tobą nic nie cieszy .. Nie jeżdżę już na polowanie, odkąd powiedziałaś, że żal ci zabijanych zajęcy... Ja nie walczę już z tobą, nie zdobywam — ja błagam ciebie, jak niewolnik, zaklinam na wszystko — bądź moją żoną... Moja ty cudna pani, moja najmilsza, powiedz „tak"... Będziesz szczęśliwa, zobaczysz, ja wszystko, wszystko zrobię... Będziesz, jak księżniczka... Doprawdy, jeżeli ja nie będę miał pewności — to ja się zmarnuję, Janko, rzucę Halle, nie skończę, będę się wszędzie za tobą włóczył .. I Marta tak ciebie kocha... Przecież to ci zupełnie, zupełnie wszystko jedno, że powiesz w tej chwili „tak"... Ja myślę, że ty mię chyba nawet trochę kochasz... Janko... Janko...

Wybucha wreszcie płaczem. Ja obejmuję go za głowę i płaczę z nim razem. Szarpie mię kolejno rozrzewnienie nad nim i tęsknota za Rosławskim. Całuję go w jedwabne, czarne kędziory. I płaczemy tak razem, jak dzieci...

* *

Staje na tem, że jadę do Warszawy „naradzić się z rodziną i własnem sercem" — i za miesiąc dam mu odpowiedź stanowczą.

Przedtem oczywiście zobaczę Rosławskiego. I wtedy rozstrzygnie się wszystko na śmierć i życie.

* *

Zrana drzewa w parku białe są od szronu, a na klepisku stodoły znajdujemy masy leżących pokotem, szafirowych, zmarzniętych jaskółek. Palą w piecach, zapatrują prowizorycznie okna i wogóle jest nastrój zimowy, chociaż to dopiero początek jesieni.

Wszystko już śpi w cichym, białym dworze.

W czarnych gąszczach parku wyje szalony wicher i miecie o ściany zwarzonemi szronem, niezeschłymi jeszcze liśćmi. Za oknami jest czarna, mroźna noc, dziwne jakieś opuszczenie i trochę grozy, taka noc, w którą oczekuje się zbłąkanych, napół zmarzłych, tajemniczych podróżnych... Powinni przyjść właśnie dzisiaj... I stare wierne służące powinny mówić zabobonnie: „musi się ktoś powiesił, taki straszny wiater..." I psy powinny wyć żałośnie.

W jednem oknie tylko płonie jeszcze światło, jasnemi smugami wypełzając w ogród przez wielkie szpary okienic. Czuwa-

cego, żółtego smoka, skłębionego w fantastycznych skrętach na żółtem tle starej, chińskiej majoliki, jaką widziałem na pałacach w Mukdenie. Wokoło ściele się płaska równina, gęsto porosła gajami... Z po za drzew wysuwają się w rozmaitych częściach widnokręgu ogromne, kończaste żagle „dżonek," płynących po wtulonej w nizkie brzegi rzece i zdaje się, że żagle te płyną lasem, roztrącając bezdźwięcznie drzewa...

O ile okolice linii kolejowej są puste, o tyle gęsto zaludnione są brzegi Paj-ho. Miejscami wioski zlewają się prawie w nieprzerwany szereg domów... Rzadko wieś od wsi leży dalej, jak na dwa stajania. Gdyśmy przepływali mimo nich, zawsze wylegał na brzeg tłum niebiesko odzianych wieśniaków, dzieci i kobiet. Mieli czas, była jesień, plony już zostały zebrane. Więc przysiadali na brzegu i gwarzyli pewnie o zamorskiem straszydle. Statek nasz siedział zaledwie na 8 stóp w wodzie, mimo to parę razy zaczepiliśmy o dno i wreszcie ugrzęźliśmy na mieliźnie. Siedzieliśmy tam kilka godzin, aż przypływ nas wyzwolił. Z obu stron naszej przymusowej stacyi na brzegach były wioski i łódź zbita z desek przewoziła podróżnych. Cały czas tłum nie znikał z wybrzeża; widziałem tam i niewiasty nawet młode, których obecność była zaprzeczeniem takiego już bezwzględnego zamknięcia chińskich kobiet, o jakiem pisza w książkach. Młodzi kawalerowie niedaleko od nich wygrywali na fletach dość przyjemne melodye; dzieci bawiły się w kręgle i kamyki.

Do Taku dotarliśmy pod wieczór, ale przedtem przepłynęliśmy mimo ciekawego miasteczka, składającego się z ogromnych pagórków białej soli, usypanych wzdłuż brzegów i starannie pokrytych rogożami, a z wierzchu obmazanych gliną. W ten sposób można podobno przechowywać sól lata całe.

W Taku nad rzeką dużo jest przystani i składów europejskich, których nie widać wcale po drodze koleją... O zmroku zarzuciliśmy kotwicę pośrodku limanu, gdyż wyjść na morze i udać się dalej do Szanhaju mogliśmy dopiero z porannym przypływem. Gdym się nazajutrz obudził, brzegi były już daleko i fale miały śliczny, przejrzysty, lazurowy kolor.

Ziemię zobaczyliśmy dopiero w połowie drogi koło Czifu; były to wyspy Miau-tau w cieśninie Pe-czi-lijskiej. Różowe, nagie, wznosiły się stromo wprost z morza, jak zęby ryfów karatowych. Na jednej bielała morska latarnia, rozumie się, zbudowana przez Anglików. Spienione fale, nawet przy stosunkowo spokojnem morzu, wysoko skakały na strome opoki.

I znowu ziemia znikła i śliczne, błękitne morze, nakryte błękitnem niebem, objęło nas ze wszech stron.

Zmętniało ono i pożółkło dopiero w pobliżu Szan-haju. W dali zarysowały się nizkie, iląste brzegi. Wkrótce pojawiły się one i na drugiej stronie horyzontu i statek nasz wszedł w szeroką, mętną zatokę, po której dość gęsto snuły się chińskie, żaglowe dżonki i krążyły europejskie parowce. Zwolniliśmy biegu, kapitan raz po raz kazał mierzyć głębokość. W ten sposób weszliśmy w ujście Jang-po, strzeżonej aż przez pięć dżonek wojennych i trzy pancerniki. Dżonki wyglądają bardzo malowniczo z czerwonymi dziobami w kształcie rybich głów, z wyłupionemi strasznie, rybiemi oczami i wielkimi, żółtymi żaglami. Po bokach mają nieduże działa, przywiązane do burt, a z tyłu wysoki pomost dla sternika oraz kapitana — zupełnie staro-rzymskie galery.

Stąd już było widać Szan-haj z po za zadrzewionych, pięknie uprawnych brzegów. Szan-haj słynie jako Paryż Dalekiego Wschodu, stolica mód, zbytku i rozkoszy. Istotnie, wygląda on na miasto milionerów. Ma książęce hotele, oraz banki, kantory, biura i składy, wyglądające jak pałace. Wprawdzie wszystko to jest dość ciężkiej architektury, domy dla chłodu mają okna w głębi werand z wielkiemi zwykle kolumnami, ale we wszystkiem czuć potęgę i bogactwo ludzi, którzy je budowali. Strzegą ich na rogach ci sami wspaniali, wysmukli „sikhowie" z zaplecionemi krótko brodami poważni, lecz uprzejmi. Wzdłuż brzegu rzeki wyciągnął się piękny ogród miejski. Widziałem tam na kląbach moc pięknych złocieni i pokrewnych im astrów w pełnym kwiecie. Dużo pojazdów krąży po ulicach i dużo „ryksz," a na chodnikach mieszanina ubiorów i ludów. Lektyk w europejskiem mieście nie widziałem. Bogaci Chińczycy także jeżdżą powozami.

Najświetniejsze suknie, brylanty, zaprzęgi i konie mają w Szan-haju amerykańskie kokoty, słynne z bogactwa, rozrzutności, wykształcenia i oryginalnej organizacyi swych stowarzyszeń. W sklepach tutejszych można wszystkiego dostać, co wschodnia i zachodnia dusza zamarzy, rozumie się, jeżeli może za to słono zapłacić. Stopa życia tutejszego angielska i pieniądz zaczyna się od... dolara. Miasto bardzo „bussines."

Gdym jednego z wieloletnich mieszkańców Szan-haju zapytał, co warto w nim obejrzeć, powiedział mi, że z wyjątkiem „settlement'u" niema co oglądać. Tymczasem dzielnica chińska wydała mi się bardzo ciekawą, pełną pięknych, starych domów o oryginalnej, innej niż na północy architekturze. Miałem mało czasu, ale kazałem się powieźć za miasto, aby obejrzeć okolicę, zwiedzić świątynię buddyjską i śliczną pagodę „Lung-fo." Okolice toną wśród ogrodów, pełnych roślin podzwrotnikowych; draceny w gruncie kwitły właśnie i ogromne, stożkowate, białe kiście ich kwiatów pięknie rysowały się w bladem, jesiennem powietrzu... Banany, palmy, bambusy, moc nieznanych mi drzew owocowych, a obok... nasza wierzba złota. Na polach dużo krzaczków bawełnianych, już obranych z waty; w wioskach przydrożnych stukały maszyny, oczyszczające ją z nasion i gromadki robotników w otwartych szopach witały śmiechem i żartami moje pojawienie się przed ich oknami. Droga wszędzie wyborna — szosowana i utrzymana wzorowo. W pobliżu dużo fabryk, przędzalni oraz innych manufaktur. Wszystkie otoczone murami, z domami zarządzających w głębi wytwornych ogrodów. Wszędzie czystość, porządek, ład... Nawet Chińczycy wydali mi się lepiej wymyci i bardziej zważający na to, gdzie należy wyrzucać śmiecie... Anglicy nie żartują, a cholera każe im dbać i o Chińczyków.

Koło świątyni już czekali na mnie obdartusi, którzy łamaną angielszczyzną ofiarowali swoje usługi. Nie potrzebowa-

---

... jak zazwyczaj, panny. Janusz i dziadek śpią już od paru godzin.

Atmosfera zaciszności, bezpieczeństwa i spokój wieczoru zimowego.

Klęczę przed kominkiem w czarnym, gładkim, sukiennym szlafroku, z rękami zaplecionemi z tyłu głowy i oczami utkwionemi w płomienie. Po mej ciemnej twarzy i kasztanowatych włosach płyną czerwone blaski. Od czasu do czasu kładę na ogień grube szczapy, przygotowane z boku. Wogóle chcę być podobną do westalki.

A Marta nie patrzy na mnie, leży półrozebrana, bez gorsetu, na różowym szezlongu, pali papierosy i jest smutna. Machinalnie gładzi ręką kota, który leży przy niej, głośno mruczy, udając zadowolenie, a właściwie chce spać i zły jest, że mu przeszkadzają.

— Źle mi będzie, kiedy wyjedziesz, Janko — mówi. — Tak pusto i samotnie...

— To jedź ze mną do Warszawy.

— Nie mogę zostawić Kłosowa bez dozoru, zresztą i dziadek sam zostać nie może... Za rok, gdy Janusz skończy agronomię, będę dopiero wolna.

— Wiesz, Marto, ty przypominasz mi bohaterki Orzeszkowej — i to mi ciebie psuje. Za dobra jesteś... Czyż nie szkoda każdego straconego roku w młodości?.. Możesz wszystko zostawić rządcy... Pamiętaj, że skończysz niedługo dwadzieścia pięć lat, a życie nie wraca...

— Och, jakże nie chciałabym, by wracało!..

— Maniera, egzaltacya..... Ty mimo wszystko kochasz życie...

Odwracam ku niej głowę i spotykam się z jej poważnym, spokojnie smutnym wzrokiem.

— Nienawidzę życia, Janko! — mówi.

Chwila milczenia. Kot zeskakuje z szezlongu, wyciąga się, wyginając grzbiet niemożliwie wysoko, i zmierza cichym, niedbałym krokiem do kominka. Ociera się mocno o mnie, kładzie na ziemi w blasku ogniska i udaje zasypia.

— Widziałam raz — mówi Marta — jak z mego własnego rozkazu zarzynali czarnego barana. Stary, wygolony parobek związał mu naprzód nogi, później długo ostrzył nóż na osełce, wreszcie odchylił mu śliczny, spiczasty łepek i powoli, z precyzyą, z jakąś artystyczną lubością, zaczął przesuwać mu nóż tam i z powrotem po gardle. A czarny baran nie drgnął nawet, nie zabeczał ani razu, nawet odruchowo nie wyraził żadnego protestu... Chciałam uciec, chciałam oczy sobie zakryć, odwrócić się chociaż — ale zmusiłam się do przeniesienia całej tej męki na siebie, by dać zadośćuczynienie cichej śmierci dobrego, łagodnego zwierzęcia. Później spytałam parobka, czy żałuje zabitego barana. Powiedział mi:

— A czego żałować, kiedy państwo samo każe? Gdyby mi kazali człowieka zarżnąć, tak samo bym zarżnął.

Młockarnia moja zabiła robotnika. Kradli mi zboże, więc pilnowałam sama ludzi, gdy ekonom gdzieś wyjechał... Właściwie kradli zboże dlatego, że mniej go mieli ode mnie... Pamiętam nieostrożne jakieś pochylenie, dziki krzyk przerażenia, chrzęst głuchy i nagłą ciszę. Maszyna stanęła. Wydobyto tylko krwawą masę. Żonie zabitego dałam synekurę i zajęłam się wychowaniem jego dzieci. Za to nazywają mnie dobrodziejką i aniołem.

Siedemnastoletnia kobieta umarła przy dziecku. Przez trzy dni i trzy noce wyła, jak zwierzę ranione, że z czworaków słychać ją było tu w moim pokoju. I wreszcie umarła. A chłopak żyje, ma trzy lata, śmieje się do słońca i dla rozrywki kraje na dziesięć kawałków glisty ziemne albo obrywa łapy chrabąszczom.

Gospodarzowi Kosie dogorywał ostatni, dziewiąty syn, na suchoty. Przyjechał ksiądz z ostatnią pociechą, a przed izbą targował się z Kosą o cenę pogrzebu.

Na powierzchnię naszego stawu wypłynęło kiedyś wstrętne, nabrzmiałe ciało noworodka. Nie zdążyło nigdy nikomu zrobić nic złego — choćby dlatego tylko, że żyło parę dni, a jednak zasłużyło na śmierć, bo było narzędziem jakiejś krzywdy.

— Nienawidzę życia, Janko...

— Słuchaj, powiedz mi—zaczynam, ale boję się kończyć.—To jest... chciałam ci powiedzieć, że tymczasem wyjeżdżam na krótko, może — mówię ze spuszczonemi oczami.— Może powrócę za parę tygodni...

— Chciałabym tego — mówi ona — żal mi Janusza...

Znowu chwila milczenia. Przychodzi mi na myśl, jak jednakże ja bardzo nie chcia-

łem ich, gdyż pojęcia o niczem nie mają, ale wiedziałem, że się od nich nie odczepię i pozwoliłem sobie brzęczeć nad uszami, podczas gdym wzrokiem wprost pożerał przepiękne rzeźby na starożytnych gmachach i bramach. Wewnątrz świątynia, jak większość świątyń chińskich, była mniej ciekawą. Zawsze to samo: złocone figury Buddy w rozmaitych wcieleniach, gliniane i tekturowe posągi jego uczniów oraz geniusze Nieba i Ziemi. W świątyni właśnie odprawiano modlitwy. Rozumie się musiałem postawić świeczkę Buddzie, co zresztą kosztowało bardzo mało. Gorzej było z moimi przewodnikami, gdyż do pierwszego przyłączył się jakiś drugi jegomość, a do nich cała gromada dzieci, ale nie chciałem brać na swoje sumienie szczepienia tu włoskich obyczajów i odmówiłem im datku. Protestowali dość umiarkowanie, gdyż podróżnicy rzadko tu bywają i jeszcze nie zdołali ich zepsuć. Coby to było w Pekinie — doprawdy nie wiem! Tam w Żółtej Świątyni Lamajskiej gromada rumianych i dość dostatnio odzianych, małych urwisów o mało nie rozszarpała mego towarzysza, spostrzegłszy, że wyjął portmonetkę, a w Świątyni Nieba, którą zwiedzałem sam jeden wczesnym rankiem, zamknięto wrota i nie chciano mię wypuścić, dopóki się nie opłacę. Dopiero ruch w stronę rewolweru rozwarł wrzeciądze... Zresztą gdym już po wyjściu dał im 20 centów, zuchwali stróże z nizkim ukłonem podnieśli w górę wielkie palce.

Nawet zbóje w Chinach poprzestają na małem!..

— Chao!

W. Sieroszewski.

Z NOTATNIKA

Klimat Korei północnej, gdzie prawdopodobnie rozegra się wojna obecna, ma charakter lądowy bardzo zbliżony do klimatu Mandżuryi. W lutym zaczyna się wiosna, mrozy wolnieją. Temperatura średnia tego miesiąca wypada —0,7°C, najwyższa +13,3, najniższa —15,0°. Średnia wilgotność 79,4%, śnieg 2—3 razy, deszcz 1—3, mgła 1—4 razy. Wiatry panujące NW, WNW, W (58%), siła wiatrów cztery razy wynosiła 5—7. W połowie marca mrozy ustają, temperatura średnia +4,8°, najwyższa +18,8°, najniższa —6,2°. Średnia wilgotność 73%, śnieg 0 do 2 razy, deszcz 1 do 5 razy, mgły 1 do 5 razy. Wiatry panujące NW i W, siła ich 2 razy wynosiła 5 do 6; zaczynają wiać SW 4. (Cyfry wzięte z obserwacyj robionych w ciągu 5 lat w Czemulpo). Nad rzeką Jalu i w jej okolicach wyniosłych i lesistych klimat, rozumie się, jest surowy i wiosna znacznie się opóźnia. Rzeka Jalu (po koreańsku Amnok-kan, po chińsku Ja-lu-dzian) wypływa ku zachodowi z podnóża góry Pik-tu-san, z tego samego węzła górskiego, z którego na północ wypływa Sungari, a na północo-wschód druga pograniczna rzeka Kori — Tu-mań-gań. Dorzecza obu tych rzek przedstawiają kraj dziki, górzysty, porosły nieprzejrzanymi, dziewiczymi lasami. Ludności mało, dróg — niema, z wyjątkiem myśliwskich ścieżynek, po których chodzić mogą z jukami jedynie wyborne, górskie koniki koreańskie. Całe życie tych okolic ogniskuje się nad brzegami rzek, które służą tam za jedyne drogi. Jalu ma 480 wiorst długości, dostępna jest dla statków zaledwie w trzeciej swej części; w środkowym i górnym biegu posiada dużo niebezpiecznych wartów i miałkich ławic, po których z trudnością przepływają spławiane tratwy. Niedaleko ujścia ma około 300 sążni szerokości. Szybkość prądu od 3 do 4 stóp na sekundę. Samo ujście tworzy deltę szeroką 30 wiorst. Odnogi są dość głębokie i dość szerokie (1/4 do 1/2 wiorsty), aby mogły w nie wejść większe statki; o morskich statkach jednak mowy być nie może. Zamarza w końcu grudnia, puszcza najwcześniej w połowie marca, najpóźniej w połowie kwietnia, lód jest na tyle gruby, że można po nim przewozić na kołach nawet znaczne ciężary, ale, rozumie się, kule armatnie mogą go rozbić. Nad rzeką Jalu w dolnym jej biegu stoi kilka miast koreańsko-chińskich. Yj-dżju, albo Wi-dżju, miasto powiatowe, leżące niedaleko ujścia Jalu, na lewym jej brzegu, należy do większych. Pobudowane na wysokości, panuje nad przeciwnym brzegiem o wiele niższym. Otoczone murem, odegrało pewną rolę w wojnie chińsko-japońskiej. Już w 1899 r. Japończycy mieli tu swoje agentury i szkołę.

W. Sier.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Szpitalnictwo na prowincyi. — Postęp w lecznictwie. — Sprawa proletaryatu rolnego. — Przeprowadzki służby dworskiej w zimie. — Los parobków i inwalidów. — Głos nauczycielki i medytacye z tego powodu. — Ruch na polu stowarzyszeniowym w Łodzi.

Jeden z bardzo nielicznych statystyków naszych, p. Leon W—w., poruszył w zeszłym numerze *Głosu* palącą kwestyę szpitalnictwa na prowincyi. Z artykułu p. W. dowiedzieliśmy się, że Królestwo po za Warszawą posiada 79 szpitali cywilnych, że jeden szpital przypada przeciętnie na 1,700 wiorst kwadratowych przestrzeni i że przeciętna odległość pomiędzy szpitalami waha się pomiędzy 36 wiorstami w gub. Piotrkowskiej (cyfra zbyt optymistyczna z powodu leżących w gub. Piotrkowskiej okolic fabrycznych, Łodzi i Zagłębia Dąbrowskiego), a 52 w g. Kieleckiej, Radomskiej i Suwalskiej i że wreszcie ledwie 10% ludności może w ten sposób korzystać w razie choroby ze szpitali. Cyfry te uzupełnijmy pracą dr. Męczkowskiego w *Zdrowiu* i *Gazecie Lekarskiej*, a dowiemy się, że na 10 tysięcy mieszkańców wypadało w 1897 r. 5,7 łóżek, a w porównaniu ze stanem rzeczy w r. 1867 stosunek ten wynosił 7 na 10,000 mieszk. Ponieważ zaś w ciągu okresu 1897 do 1903 r. liczba szpitali wzrosła o 3, liczba zaś łóżek o 253, więc obecnie mamy stosunek 5, łóżek na 10,000 m. Poczekajmy dalej. Obecnie po dołączeniu wszystkich szpitali fabrycznych w całym kraju wraz z Warszawą mamy, według dr. M., 115 szpitali z 5,710 łóżkami.

Zaznaczając mimochodem, że tej kwestyi, tak żywo obchodzącej prowincyę i jej mieszkańców, żadne z pism prowincyonalnych, prócz *Gazety Kieleckiej*, nie omówiło, dodam dla urozmaicenia tego szeregu su-

---

łabym tego — i aż łzy podstępują mi pod gardło.

— Słuchaj, Marto — mówię z nagłą decyzyą — powiedz mi, dlaczego ty odmówiłaś Imszanskiemu?

Ona zrywa się i patrzy na mnie spłoszonemi oczami sarny.

— Nie bój się — uspakajam ją — śmiało możesz mówić. Niema we mnie współczucia, tylko chłodne, objektywne zainteresowanie. Powiedz — czy to możliwe, żebyś ty nie kochała tego cudnego człowieka?

Milczy chwilę, zmagając się sama z sobą.

— Tak, kochałam go — mówi wreszcie cicho i spokojnie.

— I poświęciłaś szczęście własne dla swej abstrakcyjnej teoryi?

Znowu milczy przez chwilę.

— Nie — właściwie... Widzisz — ja poprostu tylko nie mogłam znieść myśli, że nie byłabym pierwszą...

Urywa. Ale czuję, że czeka, bym pytała dalej, bo musi w tej chwili wyznać mi to wszystko, co dotychczas, z właściwą sobie skrytością, zamykała w duszy swej przed wszystkimi. Nie pytam jednak.

...Spędzaliśmy razem zimowe wieczory — podobne trochę do dzisiejszego — mówi znowu — cicho i powoli, jakby zapatrz na w żywe jeszcze wspomnienia. — Dusza jego była mi najukochańsza i po tobie najbliższa na ziemi, ale bardziej kochałam go za to, że ma takie smutne oczy i takie cudne usta...

Może za szczery był, chciał, bym wiedziała wszystko, zanim dam mu słowo... Ja wolałabym nie wiedzieć: szczęście możliwe jest jedynie na sztucznych podstawach oparte... Bo były chwile, kiedy zapominałam — i one dawały mi miarę tego, jak szalenie, legendarnie byłabym szczęśliwa, gdybym była dla niego jedyną w czasie, jak jestem — nawet podobno dotychczas jeszcze — jedyną w przestrzeni.

...W taki przecudny, srebrny, jasny wieczór zimowy snuł mi się w blaskach księżyca, przez pokryte śniegiem pola długi, długi szereg kobiecych postaci, pięknych, jak wiosenne kwiaty — bo on jest z tych, co „znają się na kobietach"... Cały ogród kwiatów czerwonych rósł na białej pustyni, lśnił zdala, jak kałuża krwi... Oczy zamykałam z męki.

Jeżeli prawdą jest, że miłość szczęściem jest i rozkoszą, to mnie jednej należała się cała suma tej rozkoszy. A życie mi ją odebrało — nic po to nawet, by dać innym, tylko by zmarnować — rozumiesz, jaka zbrodnia? — zmarnować w przestrzeni pewną ilość potencyalnej rozkoszy — bo to, co dla mnie mogło stać się szczęściem, dla innych stało się krzywdą, formą przymusu, hańbą, męką upokorzenia, zdeptaniem praw do życia, zepchnięciem na dno nędzy i opuszczenia, zamknięciem wrót do szczęścia — to samo, co dla mnie mogło stać się szczęściem...

...W jedną z tych chwil, w które zapominałam i byłam szczęśliwą powiedziałam mu, że jestem jego narzeczoną.

Wtedy takim cudnym i miękkim ruchem objął mię w ramionach i łagodnie przyciągnął do siebie, chcąc pocałować mi usta.

To była najdziwniejsza chwila w mojem życiu — wprost wizyę miałam... Na wargach jego ujrzałam czarną krew zapiekłą, zakrzepły żar tysiąca, tysiąca pocałunków. I nie wstręt uczułam wtedy ani nienawiść, tylko grozę nadludzką przed czemś, co przeciwne jest naturze, jak wymyślna, potworna tortura średniowieczna, jakaś cicha zbrodnia, zasypana kwiatami, żeby nie było śladu... A z pod morza kwiatów słyszałam jęki zabitych na uczcie Heliogabala — czy śmiech właściwie — sztuczny, nakazany, srebrny śmiech — ten, którym śmieją się zawsze „takie" kobiety, bo płacą im za to, by były szczęśliwe... Śmiech taki miękkie nagle, urwanie, jakby przerażony własnem brzmieniem... Spadła na mnie groza wszystkich tych chwil ciszy, które nastąpiły kiedykolwiek po takim śmiechu... Ujrzałam moje lilie białe, tonące w morzu zgangrenowanej, czarnej krwi...

Wtedy odepchnęłam go od siebie, jak wroga... „Idylla malenka taka" — kończy nagle fałszywie, wybuchając spazmatycznym śmiechem.

— Kochasz go teraz jeszcze?

— Tak.

Od strony podwórza dobiega niemiłe, jak zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku, pianie koguta. Świt.

(C. d. n.).

[illegible] cyfi obrazek. *Rozwój* podaje fakt charakterystyczny, który zaszedł w szpitalu piotrkowskim. Chory przy wypisaniu się ze szpitala zażądał, rzecz prosta, swojej garderoby. Okazało się, że znikła, ale w zamian zaproponowano mu wybranie z szatni innej, a przytem wyrażono zdziwienie, że podobnie sprawiedliwa propozycya została odrzucona. Ciekawy też przyczynek do poruszonej kwestyi znajdujemy w *Echach Płockich*, gdzie dr. Waśniewski woła gwałtu o szpitale dla dzieci, których mamy zbyt mało — po jednym w Warszawie i Łodzi. Wołanie swoje dr. W. opiera na fakcie, że np. w malenkim Przasnyszu podczas zeszłorocznej szkarlatyny około [illegible] dzieci chorych na tę straszną chorobę musiało przebywać w najohydniejszych warunkach domowych, gdyż do szpitali przyjąć ich nie było można. Uznając niemożliwość zakładania specyalnych szpitali, dr. W. proponuje otwieranie przy [illegible]ych oddziałów dla dzieci.

Choć zresztą po części możemy być cokolwiek spokojniejsi o stan zdrowia naszej ludności, o ile w życiu dobre chęci za uczynek starczyć mogą, bo na brak tych chęci uskarżać się nie mamy prawa, w dodatku powiedzieć muszę, iż sprawa lecznictwa na wsi powoli, ale bądź co bądź postępuje. Zdarzają się jeszcze wypadki, że jaki znachor składa ofertę leczenia nawet, jak donosi *Tydzień*, z okolic Łodzi i na piśmie, z naciskiem, reklamując przytem swoją „cudowność," ale *Gazeta Kielecka* twierdzi, że na dalekiej prowincyi widocznym jest już postęp na tem polu. Przed laty pięćdziesięciu — mówi ona — grasowali u nas owczarze i babki-zażegnywaczki, obecnie zaś z biegiem czasu babki przerzuciły się prawie wyłącznie do akuszeryi i chorób żołądkowych, lecząc te ostatnie „obsmarowywaniem" i stawianiem szklanek i garnków na brzuchu; a miejsce owczarzy, lekarzy do wszystkiego, zajmują szynkarze i organiści, trując ludzi nietylko owczarskiemi ziołami, ale już i proszkami swego wyrobu z cegły, gliny i piasku, oraz kroplami i wodami św. Barbary, Rozalii i innych. Od nich — czytamy dalej — medycyna przechodzi w ręce księży, sięgających po rozum lekarski do botaniki ks. Kluka i medycyny ks. Kneipa, a wreszcie zjawia się pogotowie lekarskie w postaci całej falangi „dobrych" dziedziczek, panienek ze dworu, bon i letniczek, leczących już więcej postępowo za pomocą białej i niebieskiej elektryczności, lub ordynujących przeróżne antiscrofulosa, czy anticancerosa, czy też wreszcie po zaopatrzeniu się w kilka popularnych broszurek, uprawiających „całą medycynę." i dopiero po zbyt już raptownem pogorszeniu się stanu chorego za gwałt wołających lekarza.

Tak więc postępuje nasze lecznictwo nie na żarty, i być może wreszcie odległe pokolenia doczekają tej pięknej chwili, że prozaiczny lekarz zajmie u wezgłowia chorego miejsce idyllicznej panienki ze dworu lub [illegible] sielankowego, zacnego plebana, [illegible]biących w jak najlepszej wierze i z jak najszczerszem sercem doświadczenia lecznicze na chorym biedaku. Przyznam się, że tej poezyi niezbyt będę żałował.

Teraz zaś zaznaczyć muszę, że wśród obywatelstwa naszego zaczynają odzywać się poważne głosy w sprawie służby dworskiej, której los nie jest do pozazdroszczenia.

[illegible] jedną z najbardziej u nas palących i zarazem najmniej szerszemu, a nawet [illegible] i bardzo ciasnemu ogółowi znanych kwestyj jest sprawa licznego proletaryatu wiejskiego. Przedewszystkiem trzeba podkreślić, że prócz kilku broszurek pomniejszych i kilkunastu artykułów, napisanych w epoce „ludowości" naszej prasy postępowej, brak nam zupełny źródeł, z którychbyśmy mogli kwestyę tę poznać. Niebardzo się omylę, jeżeli powiem, że ostatnią, gruntowniejszą praca o stanie naszego proletaryatu rolnego było studyum L. Górskiego, napisane przed czterdziestu z górą laty, a tymczasem sprawę tę poznać warto.

Z przyjemnością też przeczytałem w *Echach Płockich* kilka artykułów, omawiających tę naszą bolączkę. Między innemi kwestyami, poruszonemi w szeregu — mówiąc nawiasem, bardzo udatnych fejletonów p. t. „Rozmowy w Wólce" — znajdujemy i obchodzącą nas właśnie palącą koszulę Dejaniry — jak się wyraża autor fejletonów o służbie folwarcznej. Rozpatruje on w jednej z tych rozmów sprawę zmiany służby na Nowy Rok. Termin to, co prawda, dla pracobiorców nadzwyczaj dogodny: robót żadnych niema, warunki można stawiać prawie że dowolne, gdyż parobek obawia się całkiem słusznie pozostania z żoną i dziećmi na mrozie, co podobno, jak twierdzi jeden z uczestników „Rozmów," jakiś postępowy doktór, często wpływa na zmarznięcie dzieci na śmierć, nawet gdy byle jako otulone przejeżdżają na wierzchu piramidy rzeczy, złożonych na wozie, od jednego dworu do drugiego, bez narażenia na kilkudniową lub nawet i dłuższą zwłokę. Zresztą, jak się dowiadujemy, niegdyś w pow. Ostrołęckim grono obywateli czułego serca proponowało przeniesienie terminu zmiany służby na koniec marca lub początek kwietnia, lecz wówczas niektóre roboty już się zaczynają, a w innym czasie, na św. Jan czy św. Michał niepodobna nawet myśleć o zmianie służby, więc i narady nie doprowadziły do niczego, i wszystko zostało po dawnemu, bo ostatecznie okres noworoczny okazuje się najdogodniejszym, jak zakonkludował inny z uczestników „Rozmów" — p. Napoleon.

Tak, najodpowiedniejszym dla p. Napoleona i jego sąsiadów, lecz gdyby i parobcy tu głos mieli, możeby się zdania trochę różniły. Ale ponieważ oni głosu nie mają, więc cała rzecz zostanie po dawnemu; a w razie gdy taki postępowy doktór trafi na czulszą strunę w sercu p. Napoleona et cons., to wielkiej rzeczy dokaże, jeżeli skłoni ich do wysyłania koni oddzielnie po ludzi i po rzeczy.

Też Dejaniry palącą kwestyę z innej strony poruszył w *Echach* członek Tow. rolniczego. Dowiadujemy się, że jedynem źródłem utrzymania normalnego parobka-inwalidy są zebrane „po prośbie" kartofle, mąka, kasza itd. Gmina podobnymi niedołęgami nie opiekuje się zupełnie, zrzucając ich na barki dawnego pana, a ten zwykle do obowiązku względem nich nie poczuwa się wcale. Otóż dla wyjścia z tego przykrego położenia, które zmusza steranych wiekiem i pracą ludzi do poniżającej żebraniny, Członek Tow. rolniczego projektuje solidarną działalność ziemian. Punktem wyjścia w tej działalności ma być coś w rodzaju ubezpieczenia wzajemnego właścicieli ziemskich w celu założenia towarzystwa, utrzymującego wspólnemi siłami przytułek dla kilkudziesięciu inwalidów pracy folwarcznej. Szereg takich towarzystw zapobiegłby choć w części musowej żebraninie większości dawnych pracowników dworskich.

Nie ulega wątpliwości, że projekt powyższy choćby dla braku lepszego wart był poparcia. Niestety, trzeba przyznać, że pozostawiony dobrej woli, naszych właścicieli ziemskich, zmuszonych do gorliwego oszczędzania na wszystkiem, nietylko na wydatkach dla swoich pracowników, jest i będzie utopią.

W tymże samym organie znajduję inną kwestyę żywotną: króciutki a nadzwyczaj wymowny swą rzewną prostotą artykulik p. t. „Głos nauczycielki." Chodzi o rzecz błahą na pozór — biedna nauczycielka, pracująca dla chleba, zwraca się do swych koleżanek z zawodu, nauczycielek pracujących dla przyjemności: Wy dajecie lekcye — czytamy — aby sobie sprawić sukienkę na jedwabnej podszewce, pójść częściej do teatru, by zaspokoić pierwszą lepszą zachciankę. Dobrze, ale przez wzgląd na nas, pracujących na chleb, na dach nad głową, nie przedłużajcie godzin lekcyj, bo dla was może to i przyjemność, a dla nas ogromna strata. My nie możemy i pięciu minut darować, bo czas nie czeka i robota pcha... pcha...

W tych kilku szczerych, prostych słowach cały dramat się mieści. Czy przemówią one do serc tych mimowolnych krzywdzicielek, co dumne z kilku rubli zarobionych samodzielnie, z taką naiwnie okrutną bezmyślnością od ust odejmują gorzki kęs chleba swoim towarzyszkom pracy, lecz nie doli? Czy dadzą one do myślenia całym rzeszom młodzieży inteligentnej, co bez potrzeby, dla zadowolenia ambicyi własnej lub rodzicielskiej, robi dotkliwą konkurencyę swoim biedniejszym kolegom? Wątpię. W umysły nasze zbyt wżarło się bezkrytyczne pojmowanie różnych haseł. Mieszczański idealizm dał niegdyś hasło własnej pomocy jednostki. My uchwyciliśmy się go oburącz. Czas płynął, na Zachodzie to hasło już dawno do archiwów ideowych złożono, a u nas panuje ono wszechwładnie, pojmowane w dodatku w najfałszywszy sposób. Do dziśdnia wstępującemu do szkół chłopcu stawia się ideał skończenia ich „o własnych siłach," dla zdobycia stanowiska. Mnóstwo też młodzieży, bez widocznej przyczyny, lata po korepetycyach, pracuje w kancelaryach adwokatów i t. d. A w rezultacie trzeba wielkiej naiwności, aby sądzić, że ciężka, wyczerpująca praca na chleb i staranna nauka dadzą się pogodzić — to też zwykle człowiek, kończący szkoły o własnych siłach, nie jest (pomijam wyjątki) ani dobrym uczniem lub studentem, ani dobrym pracownikiem.

A teraz biorę rzecz z etycznej strony. Czy ten, co w najwcześniejszej epoce życia samodzielnego, w okresie ideałów, porywów wzniosłych i altruizmu z zimną krwią i podniesionem czołem był zdolny zabierać biedniejszym kolegom stypendya, obniżać im zarobki przez konkurencyę, jednem słowem, wyzyskiwać ich, nie będąc do tego zmuszony — czy taki człowiek może później w wieku dojrzałym, w okresie praktyczności, przejść przez życie bez kompromisu z sumieniem? Ja na to nie odpowiem.

Ograniczając się do rzeczy sympatyczniejszych, zaznaczę z dziedziny ruchu na polu samopomocy społecznej, stałej rubryki moich „Rachunków," ożywioną działalność wśród rzemieślników łódzkich. Drukarze tamtejsi powzięli myśl założenia własnego towarzystwa pomocy wzajemnej, uzyskały zaś już zatwierdzenie władz podobne stowarzyszenia kotlarzy, odlewaczy, fryzyerów. Nieźle się powodzi kasie pomocy kelnerów. Handlowcy łódzcy zaprowadzili przy swem stowarzyszeniu kursy wieczorne dla członków i osób postronnych, które za niewielką stosunkowo opłatą 5 do 6 rb. rocznie mogą doskonalić się w wiadomościach fachowych. Pomiędzy majstrami szewckimi w Łodzi powstał znów projekt urządzenia wspólnego składu skór, jednem słowem, nasza stolica bawełniana zaczyna przodować na polu zrzeszania się. Z innych sfer musimy zaznaczyć projekt korporacyi felczerów warszawskich i jednocześnie niemal poruszony przez pismo miejscowe takiż sam projekt w Zagłębiu, oraz jak zwykle ożywiony ruch na polu zakładania spółek włościańskich, co spowodowało *Gazetę świąteczną* do wydrukowania nawet projektu normalnej ustawy dla takich spółek. Ruszamy się więc!..

J. Dąbrowski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Dobrze zasłużony.

Był to jeden z niewielu *radców* Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Ten tytuł i urząd dostaje się najczęściej zwycięzcom w wytężonych zabiegach i wpływowych stosunkach; rzadko otrzymuje go zasługa i zdolność, a jeszcze rzadziej taki wyjątkowy umysł i charakter, jak T. Kowalski. Naprzód bowiem posiadał on rozległe i gruntowne wykształcenie, dalej dużą i nienużącą się energię, wreszcie — szczerą uczciwość. Działalność jego na katedrze w puławskim Instytucie rolniczym (1862) była zbyt krótką, ażeby wydała poważniejsze owoce naukowe, które obficiej wystąpiły w jego pracy, jako współredaktora *Gazety Rolniczej*. Główny wszakże punkt ciężkości jego dobrych i trwałych czynów spoczywał w radcostwie. Towarzystwo kredytowe ziemskie rozpoczęło w ostatnich czasach szereg dobrowolnych i przez warunki nakazanych zmian, z których Kowalski starał się wydobyć lub ocalić dla niego jak najwięcej korzyści. Zwłaszcza przy konwersyi Listów zastawnych i staraniach o złagodzenie różnych operacyj, którym ta instytucya poddać się musiała, dowiódł on umiejętnego i chętnego użytkowania swych sił. Godnego siebie następcy w Towarzystwie on nie zostawia, a co gorsza, rolę jego przejmują już karyerowicze, którzy płaszczem dobra ogólnego okrywają zwyrodnienie obywatelskie i samolubny interes.

I to także...

I ten blady sierpek księżyca, niemający ani jednego własnego promienia i świecący odbitym blaskiem? I ten ubogi tłomoczek, w którym mieści się trochę zjełczałej reporteryi i świeżego zielska wypracowań, przedrzeźniających publicystykę? I ten arkusz papieru bez idei i zdolności, zadający swoim czytelnikom codziennie pytanie: po co on właściwie wychodzi? I to tak się nadyma? Koniec świata! *Kuryer Codzienny*, który widocznie krztusi się i dławi tytułem *Prawdy*, podnosząc jej artykuł w numerze 6-ym, nazwał ją „jednem z pism.“ Nadawać znaczenie jakiemuś głosowi i taić jego źródło, jest czemś tak komicznem, że z życzliwości poradziliśmy *Kuryerowi*, ażeby dla pogodzenia swej idyosynkrazyi i konieczności wspominania o nas, nazywał nasz organ Ben Akiba. A on nam na to z wysokiej góry: 1) „zakres zasadniczych pojęć *Prawdy* jest mało uświadomiony (??); 2) zraziła ona sobie wszystkich lepszych współpracowników.“

Co do pierwszego frazesu—jest to orzech z dziurką, na którym *Kuryer* gwizdać umie, ale my tej jego melodyi nie rozumiemy; co do drugiego, to rzeczywiście zraziliśmy sobie, ale nie „wszystkich lepszych współpracowników,“ tylko jednego, który chciał być ozdobą *Prawdy*, a nieoceniony przez nas, został klejnotem *Kuryera Codziennego*. I odtąd, zdaje się, to pismo uczuło wielką dla nas litość i wielki dla siebie podziw. Dzięki mu za chwilę wesołości.

Smutne zgromadzenie.

Każdemu człowiekowi, choć cokolwiek obeznanemu ze sprawami publicznemi wiadomo, że los wszelkiej organizacyi zależy zarówno od dobrej ustawy, jak od ludzi, w skład instytucyi wchodzących. Ci ostatni zawsze są ważniejsi, stanowią bowiem ducha organizacyi, mającego ożywiać i dla swych celów wyzyskiwać martwe paragrafy ustawy.

W prasie codziennej uczyniono zarzut, że „warszawski Związek roboczy“ nie posiada ani odpowiedniej swym celom ustawy, w ostatnich czasach niekorzystnie zmienionej, ani też, co ważniejsza, odpowiednich dla tego trudnego zadania ludzi. Kierownicy instytucyi uczuli się dotknięci tem publicznem oskarżeniem, które pojawiło się w jednem tylko piśmie codziennem, a chcąc dać o rzeczy dokładne pojęcie i wyjaśnić położenie, zaprosili przedstawicieli prasy oraz kilku publicystów na specyalne zgromadzenie, aby dać im możność wysłuchania stron obu i wyciągnięcia własnych wniosków.

Zgromadzenie to odbyło się w zeszłą sobotę d. 20 lutego.

Przewodniczył mu, wybrany przez głosowanie, p. Rogowski, który nie miał najmniejszego pojęcia o tem, jak się posiedzenia prowadzi. I nie wiadomo zaiste, co bardziej podziwiać, czy smutną odwagę p. Rogowskiego w przyjęciu podobnego zadania, czyli też nieudolność większości, która nie zdawała sobie sprawy, kogo wybrać.

Na wstępie zaraz zabrał głos p. Krzeczkowski i przedstawił nie po raz pierwszy cele, zadania, metody postępowania, działalność dotychczasową i owoce pracy Związku; uczynił to zaś dla zaproszonych przedstawicieli prasy, aby mogli zoryentować się w całej sprawie.

Przemówienie p. Krzeczkowskiego, bardzo jasne i spokojne, było istotnie pouczające, trwało ze dwie godziny i wyczerpało przedmiot oczywiście tylko ze stanowiska przemawiającego, który zakończył prośbą o ostateczne załatwienie sprawy przez zgromadzenie, czyli innemi słowy, postawił kwestyę zaufania.

Wtedy p. Hulanicki poprosił o głos, czemu większość sprzeciwiła się, a p. Rogowski, z pogwałceniem wszelkich zasad parlamentarnych postanowił poddać głosowaniu naprzód kwestyę zaufania, a potem dopiero dać głos opozycyi, to jest wtedy, kiedy wszelka dyskusya byłaby już niepotrzebna.

P. Rogowski odegrał tu zdaje się bardzo mizerną rolę narzędzia, być może, nieświadomego; lecz w każdym razie trudno tem tłomaczyć gwałt, którego się dopuścił na całej opozycyi.

Wotum zaufania dla p. Krzeczkowskiego zostało uchwalone znaczną większością: tylko piętnaście głosów oświadczyło się przeciw niemu i sprawa, przynajmniej na sobotniem zgromadzeniu, została osądzona. Wówczas dopiero p. Rogowski raczył udzielić głosu opozycyi, tj. p. Hulanieckiemu, gdyż nikt więcej z czternastu opozycyonistów nie odezwał się, zwalając cały ciężar walki na barki jednego człowieka, który zterroryzowany, powiedział kilka słów zupełnie niewystarczających i nie przekonywających, których nie pozwolono mu nawet spokojnie wygłosić.

Na zakończenie wreszcie poplecznik p. prezesa, p. Borzuchowski, żądał wykluczenia ze Związku owych piętnastu opozycyonistów, na co większość ostatecznie się zgodziła w mniej brutalnej formie życzenia: aby opozycyoniści sami się w przeciągu tygodnia wykreślili.

Pomijam barbarzyński sposób obejścia się z opozycyą, niemożliwy w żadnem kulturalnem społeczeństwie, zastanawiam się jedynie nad bezprzykładnym brakiem wszelkiego krytycyzmu u większości, działającej widocznie pod wpływem pędu, którego charakteru bliżej określać nie chcę. Wszak opozycya jest sumieniem każdego związku ludzkiego; bez opozycyi niema mowy o kontroli, w każdem stowarzyszeniu niezbędnie potrzebnej! Większość związkowa sama więc dobrowolnie i rozmyślnie pozbawiła się tego sumienia, co musi się odbić niekorzystnie na sprawach Związku.

Niedopuszczenie opozycyi do głosu zniweczyło zupełnie cel zgromadzenia: wszak prasa została zaproszona na to, aby wysłuchać strony obie. Tymczasem mieliśmy tylko dwugodzinny wykład p. Krzeczkowskiego bez krytyki zarówno jego wywodów, jak i działalności.

To, co powiedział o nieporozumieniu z „Nadzieją,“ stanowczo nie było zadawalające; p. Krzeczkowski nie przekonał nas wcale, że Związek roboczy miał prawo dla dobra kilku wysłanych do Zagłębia swych członków popełnić czyn nieobywatelski i zgubić „Nadzieję“ zamiast ją ratować lub pozostawić własnemu losowi. Skoro Związek zastał interesy „Nadziei“ w takim stanie, że jej już nie pomódz nie mogło, powinien był wycofać się ze stosunku, jeżeli nie chciał zciągnąć na siebie zarzutu nierzetelności, którego p. Staroście odeprzeć się nie udało.

Słowem zarzuty, podniesione w prasie przeciwko Związkowi nietylko nie zostały przez sobotnie gromadzenie osłabione, lecz przeciwnie wzmocnione. Wskutek braku wszelkiej obywatelskiej kontroli i jawności spraw Związku będziemy mieli wszelkie prawo uważać go na przyszłość nie za zrzeszenie obywatelskie, a za przedsiebiorstwo prywatne, które, jako takie, ani na sympatyę społeczeństwa, ani na jego poparcie nie zasługuje.

Wojciech Szukiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

ZŁUDZENIE.*)

[illegible]szystko jest złudzeniem — brzmi orzeczenie, które eklezyasta (Księga Kohelet) wkłada w usta króla Salomona. Jeżeli pragniemy zgłębić istotę i znaczenie złudzenia, to mało nas w gruncie rzeczy obchodzi kwestya filologiczna i historyczna, czy rzeczywiście legendarny, na skrzydłach wyobraźni ludu na tron mądrości wzniesiony król wyrzekł owo sceptyczno-pesymistyczne orzeczenie. Okoliczność jednakże, że eklezyasta temu ulubieńcowi Gracyj, któremu tradycya przypisuje autorstwo najpotężniejszego hymnu na cześć życia, wkłada w usta, jako bilans życiowy, słowa: „wszystko jest złudzeniem“ — świadczy, jakiemi oczyma filozofia Wschodu spoglądała na życie. Autor „Księgi Kohelet“ sądził, że użyje najsilniejszego atutu teoryi pesymizmu, jeśli słowa „wszystko jest złudzeniem“ przypisze uwielbianemu artyście życia, który rozkosze ziemskie spijał kropla po kropli z złotego puharu.

To, co wedle eklezyasty król żydowski miał powiedzieć, o wiele później powiedział rzeczywiście cesarz Marek Aureliusz. W „Rozmowach ze sobą samym,“ które ten filozof na tronie spisywał w obozie wojennym, powraca wieczna zwrotka, główna nuta, wciśnięta w słowa: πᾶν ὑπόλ[illegible] Wszystko jest wmówionem, wszystko ułudą dowolną. Przemijający jest byt; życie samo jest złudzeniem.

Posłuchajmy teraz obok orzeczeń królów jeszcze słów nieukoronowanego monarcha, Aleksandra Humboldta. W swych „[illegible]

*) Podajemy tu w opracowaniu p. Merwina [illegible] niedawno wydanej rozprawy dr. Ludwika Steina, [illegible]fesora w Bernie.

miętnikach“ wypowiada on kwintesencyę swych bogatych doświadczeń w rozpaczliwych słowach: „Życie jest największą niedorzecznością. A choćby się ośmdziesiąt lat walczyło i badało, musi się w końcu przyznać, że niczego nie wywalczono i nie zbadano. Wiemyż przynajmniej, poco na ziemi istniejemy? Wszystko jest dla myśliciela zagadkowem, a największem jest szczęściem urodzić się matołkiem (Flashkopf).

Oto ostatnie słowo człowieka, który zdołał otrząść się ze złudzeń. Tak mówi tylko ten, którego wiara rozbiła się na Charybdzie życia. Śmiały badacz przyrody, który z czasem poznał wszelkie tajniki wiedzy, zamyka tu rachunek pozycyą *minus* i przyznaje u zmierzchu życia, że poznał wszystko a nic nie wie. Energia życiowa zgasła, pęd ku mocy (der Wille zur Macht) — zamarł — krater wulkanu zgasł. A echo tych dźwięków rozlega się, jak dzwon pogrzebowy w stronę ludzkości; dziej jego przedstawiciele, stojący na szczycie potęgi i świadomości, łączą się w chór i wyśpiewują marsz żałobny, którego stała zwrotka brzmi: Próżnem jest życie — wszystko jest złudzeniem.

Ten charakter zasadniczy posiadają wszystkie tyrady pesymistyczne. Ci nieuleczalnie słabujący ludzie, którzy własny, neurasteniczny kąt patrzenia, tak chętnie uogólniają i majaczenia chorej swej duszy podają za zasadę powszechną — bardzo chętnie powołują się na orzeczenia wymienionych trzech geniuszów. Właśnie najwznioślejsze umysły — argumentują zawodowi pesymiści— najradykalniej uświadamiają sobie ułudność bytu. Leopardi, Shelley, Byron i Heine w sposób poetyczny opisali tę tragedyę ludzkości. I rzecz dziwna: Schopenhauer, ten Dalai-Lama pesymizmu, osłabił znacznie siłę argumentów, używanych na poparcie tezy, że wszystko jest złudzeniem. Kult geniusza, który romantycy podnieśli jako postulat estetyczny, znalazł w Schopenhauerze entuzyastycznego wielbiciela. Dla niego geniusze stanowią szlachtę świata. Inni są pospólstwem, „glebae adscripti.“ W tym schopenhauerowskim kulcie geniusza tkwi uwielbienie bohaterów, wyrażone słowami Carlyle'a i Emersona, oraz przepowiednia nadczłowieka, wyrażona poematami filozoficznymi Nietzschego. Lecz właśnie Schopenhauer, o wiele wcześniej, niż Lombroso, uświadomił sobie fatalne sąsiedztwo dwóch pojęć: genialności i obłąkania. „Geniusz mieszka tylko o piętro niżej, niż obłąkanie.“ (Parerga, II, § 37). I w jednym z roziskrzonych aforyzmów porównywa często pojawiającą się melancholię geniuszów z olbrzymami górskimi: wszak wierzchołek Mont-Blanc jest przeważnie w mgle ukryty. A kiedy czasem, wczesnym rankiem — powiada Schopenhauer — chmury ustąpią, a góra, czerwona od promieni słonecznych, spogląda ze swej majestatycznej wysokości w niziny, wówczas każdemu serce żywiej uderzyć musi. Tak samo geniusz, zwykle okryty mgłą melancholii, objawia radość, która niby aureolą opromienia jego czoło: in tristitia hilaris, in hilaritate tristis.

Taki przebłysk melancholijnego geniusza opisuje Eckermann w słynnych swych rozmowach z Goethem. Wpatrując się w zachodzące słońce, rzekł Goethe do swego towarzysza: Jeżeli kto dotarł do siemdziesiątego roku życia, cóż dziwnego, że czasem myśli o śmierci? Co do mnie, myśl ta nie mąci mi spokoju, jestem bowiem przekonany, że duch świata jest istotą nieniszczalną, rozwijającą się po wieczność, podobną do słońca, które zdaje się zachodzić, lecz w rzeczywistości nigdy nie zachodzi, tylko wiecznie świeci.

Gdyby zamiast starego Eckermanna młody Schopenhauer był wówczas towarzyszem Goethego, rzekłby z pewnością: „W Goethem przejawia się chęć złudzenia (der Wille zur Illusion). Bo w oczach Schopenhauera świat był bańką mydlaną. „Przesłona Mai“ okrywa przed nami, jak to orzeka legenda indyjska, prawdziwe oblicze świata. Po za przesłoną Mai, po za złudzeniem zjawisk kryje się istota— wola i duch świata. Indyjski fakir, pokutnik z nad Gangesu, uciekający w nicość, rozpływający się w Nirwanie, zrywa przesłonę Mai.

Albo jak to samo wyraża Rousseau, praojciec romantyzmu, duchowy przodek Schopenhauera, pradziad Nietzschego: „Człowiek kulturalny, który siłą wyobraźni i refleksyi pogwałcił w sobie pierwotnego człowieka instynktów, żyje tylko w złudzeniu i zaślepieniu.“

W takiem określeniu świadomości ludzkiej tkwi reakcya uczucia przeciw rozumowi, rewolucya pałacowa romantyzmu przeciw klasycyzmowi.

Najjaskrawszy wyraz znajduje to oburzenie w *Discours sur l'inegalite*, gdzie Rousseau oświadcza: „Ośmielam się twierdzić, że refleksya jest przeciwną naturze, a człowiek, który myśli (qui médite), zwyrodniałem zwierzęciem.“

Świat pojęty, jako złudzenie, był zresztą już dawno ulubionem dowodzeniem poetów i myślicieli. Wszak już Descartes w pierwszej „Medytacyi“ zastanawiał się, czy przypadkiem życie nie jest przedłużonym snem, a Fenelon wprost oświadcza: „Tous ces etres peuvent n'avoir rien de reel, et n'etre qu'une pure *illusion* qui se passe toute entiere en dedans de moi seul.“ Plato nie oddalał się od tego toku myśli. Calderon udramatyzował go w „Życie snem,“ Grillparzer w odwróceniu: „Sen — życie“ (Der Traum ein Leben), a Schopenhauer powiada: „Życie i sny są kartkami jednej i tej samej książki. Człowiek skończy czytanie (dzień) i pragnie wypocząć, mimo to przerzuca pojedyncze kartki książki, raz tu, raz tam, bez porządku i ładu; czasem natrafi na stronę już przeczytaną, czasem na nieznaną jeszcze — zawsze jednak czerpie z jednej i tej samej księgi.

I tak moglibyśmy trójcy iluzyonistów: Salomonowi, Markowi Aurelemu i Humboldtowi, którzy zdaniu „wszystko jest złudzeniem“ nadali znaczenie etyczno-pesymistyczne, przydać jako towarzyszów trójcę romantyków: Rousseau'a, Schopenhauera i Nietzschego, którzy to samo zdanie oświetlili ze strony sceptycyzmu i dociekań teoryopoznawczych.

Jezeli Rousseau uważa człowieka kulturalnego, który zamiast ulegać pierwotnym instynktom, daje się powodować refleksyi, za zwyrodniałe zwierzę, a Schopenhauer człowieka, spętanego principio individuationis — za wytwór ułudny — to Nietzsche w tym względzie najjaskrawszy sąd wydaje: umysł jest dlań symptomatem zastoju, organem zwyrodnienia rodu ludzkiego: „Wer die Starke hat, entschlägt sich des Geistes“ (Silny wyzbywa się umysłu, ducha).

Matematyczno-logiczne myślenie, uważane przez encyklopedystów za jedyne kryterium prawdziwości, spotyka się z potępieniem. Uczucia i instynkty niszczą okopy umysłu. Umysł osłabia, zniewieścia, denerwuje człowieka. Uczucia czynią go silnym, mężkim. „Instinkt ist Alles“ — powiada Nietzsche. Rousseau apoteozuje „bosko-majestatyczną“ prostotę stanu „pierwotnego.“ Ideałem jego jest *człowiek dziki*. Schopenhauer uzupełnia teoryę Kanta przez przyjęcie indyjskiej nauki o „Sansorze“ i „Nirwanie“ w ten sposób, że świat zjawisk, objawiający się naszemu rozumowi jako czas, miejsce i przyczynowość, jest tylko „fenomenem mózgowym,“ zaczarowaną marą złudną, innemi słowy: złudzeniem. Natury błogosławione, geniusze religii, odgadują to złudzenie, wyzbywają się rozumu, i popadają w stan Nirwany przez zabicie pożądań ciała i zgnębienia ochoty do używania życia. Jego ideałem jest zatem *człowiek święty*. Przeciwienstwem tego jest pogląd Nietzschego „Geist ist Dekadenz“ — powiada on. Siła, życie, moc, okrucieństwo — to prawo „pana.“ Rozkosz to „faire le mal pour le plaisir de le faire.“ Nadczłowiek raduje się mogąc objawić swój pęd ku władzy, potędze (Wille zur Macht). „Życie jest przyswajaniem sobiem, pogwałceniem tego, co jest własnością cudzego i słabszego...,“ bo „widok cierpienia działa dobrze, przysparzanie cierpien jeszcze lepiej.“ Ideałem Nietzschego jest *bohater*, „zwierzę drapieżne, wspaniała, łupu i zwycięztwa żądna płowa bestya.“

Wspólną jest tym wszystkim romantykom pogarda umysłu, ujemne osądzenie refleksyi. Prastary proces mistycyzmu przeciw logice, potęgi ciemności przeciw światłu dnia, chaosu przeciw kosmosowi, Arymana przeciw Ormuzdowi, dysonansów przeciw harmonii, wybucha tu z nieokiełznaną namiętnością. Pesymiści, pogardzający życiem, sądzą, że odwiecznego swego wroga najbardziej poniżą, jeśli orzekną: życie jest złudzeniem — romantycy, pogardzający myśleniem, prześladują umysł ironicznemi słowami: myślenie jest złudzeniem.

Strona przeciwna, intellektualiści i optymiści — Spinoza, Leibnitz, Hegel —zarzucają przedewszystkiem pesymistom i romantykom sprzeczność: przeczą życiu, a przecie żyją, przeczą myśleniu, a przecie myślą. Aby módz przeczyć życiu, trzeba przecież wprzódy żyć, aby módz przeczyć myśleniu trzeba choćby tylko nad tem pomyśleć.

Zapytajmy psychologów, co właściwie znaczy słowo złudzenie. Anglik James Sully ogłosił na ten temat wyczerpującą rozprawę („Illusions, a psychological study.“ London 1881), w której poddał starannemu badaniu psychologiczne zjawisko złudzenia, już w r. 1838 przez Esquirola rozpatrywane. Złudzenie jest wynikiem zewnętrznego wrażenia zmysłowego, w którem główną rolę gra asymilacya („Bei der Illusion handelt sich stets um eine Asimilation“ — Wundt. Physiologische Psychologie, II, 4,532). Podniety umysłowe są jego sprawcami: Intensywność tych podniet wzmacnia po części złudzenie, po części zmienia. Charakterystyczne są wywody Edwarda Hartmanna na ten temat (Hartmann: Philosophie des Unbewussten). Rozróżnia on trzy stadya złudzenia: szczęście bytu ziemskiego, nadzieję bytu nieziemskiego i pocieszanie się postępem kulturalnym.

Na tem orzeczeniu oprzemy dalsze nasze wywody. Bo nie obchodzi nas złudzenie, jako zjawisko patologiczne, psujące równowagę duchową, lecz uczuciowa wartość tego słowa. Najszczytniejsze dobra życia: młodość, zdrowie, wolność, miłość, przyjaźń, szczęście rodzinne, honor, sława, religijne zbudowanie i skupienie — wszystko bywa potępiane i niemiłosiernie, jako złudzenie wykpiwane. A nam chodzi o przyznanie mu właściwego miejsca w dorobku naszego życia kulturalnego.

(D. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

POPIOŁY.

(Dokończenie.)

Rafał Olbromski, książę Gintułt i Krzysztof Cedro. Żeromski niemal ciągle ukazuje głębie ich dusz, ale czytelnik, chcący te głębie ogarnąć, sam musi myśleć, przeczuwać i uzupełniać. I zdaje mi się, że ten tylko, kto na żaglach własnej fantazyi zdoła przepłynąć morza, które przebyli bohaterowie po za rozgrywającą się w powieści akcyą, że ten tylko zrozumie ich i oceni.

Powiedziałem, że na bohaterów Żeromskiego silnie działają czynniki świata zewnętrznego, dodać jeszcze należy, iż szczególniej wpływ potężny wywiera na nich natura. Ludzie Żeromskiego rozumieją naturę i ona rozumie ich doskonale: cieszy się z nimi i boleje, przesyca swym czarem, pochłania i sama pochłaniać się daje. Oto mały wyjątek z dziejów miłosnych Rafała i Heleny:

...Jasna woń miodu płynęła z lepkiej koniczyny i szorstka woń z czombrów. Patrzały z jej głębi w okna chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe, liliowe dzwonki z łonami rozdartemi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, patrzały wysokie kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy i przyziemne, żółte, zanikłe polne bratki. Pozdrawiały wstającą ze snu Helenę słodyczą swoją i mówiły do niej, że dla nikogo, dla samych siebie kwitły przez wieczność, że nieskończone szeregi wiosen, których myśl ludzka nie obejmie, minęły już, nim przyszła w to miejsce ze swym kochankiem. Pozdrawiały ją od wieczności, która dawno przeminęła, i kiwały ku niej fioletowemi, żółtemi i rumianemi głowami. Pojmowała ich sekretną mowę, wielbiła ją westchnieniem krótkiem i trwożnem, tajemnicę bytu wiecznego, jakby niemowlątko poczęte w drżącem łonie...

— Łąka zmieniała się, jak ich dusze — w innym miejscu powiada Żeromski.

I jeszcze jeden ustęp niech mi wolno będzie przytoczyć.

...Młodzieniec zerwał się i usiadł. Słuchał tonów słowiczych, całował je z radosnym uśmiechem, przyciskał do serca wszystką mocą duszy, wszystkiemi siłami ciała. Zwolna te dźwięki metaliczne, tony pierwotne, tak lekkie, jakby je wywoływało dotknięcie strun cytry przez różnobarwne pióro pawie, poczęły zapadać w niego, lecieć wskroś, jak ostry krzemień przelatuje głębinę wody...

Mistrz w odtwarzaniu natury, twórca cudnych postaci kobiecych i genialny piewca miłości, olbrzymem wykazał się i w malowaniu walk. Żeromski nie idealizuje wojny, jak Sienkiewicz i opisami mordów nie wywołuje wstrętu, jak Zola, Żeromski budzi grozę. Nie zapomina, że ludzie, mordując bliźnich, często grot krwawy i we własnej zatapiają duszy. Wojna Żeromskiego — to nie przyjemny sport gaszenia żywotów ludzkich z takiem „dobrem sercem“ i humorem, z jakim gasić można conajwyżej świece: to straszny, krwawy dramat, budzący swem okrucieństwem dreszcz przerażenia. Od pysznych opisów walk i utarczek dziwnie niemile odbijają niektóre ustępy, gdzie wylicza miejscowości, ruchy wojsk lub całe szeregi nazwisk. Ustępy te brzmią sucho i nudnie, jak raporty, a robią wrażenie niepotrzebnych ustępstw artysty na rzecz historyka. Bo „popioły“ — to przedewszystkiem dzieło piękne. Żeromski nie jest historykiem-filozofem, nie zastanawia się nad prawami, które rządzą dziejami ludzkości, nie bada i nie bawi się w dociekania historyozoficzne (na szczęście!), a co więcej, nie wypowiada nawet swojego poglądu na epokę ówczesną. Czy wobec tego „Popioły“ są powieścią historyczną? Odpowiadam: tak, nie dlatego jednak, że autor wprowadził na chwilę do powieści kilka osób, znanych z historyi, lub wymienił kilkadziesiąt nazwisk historycznych i odmalował boje w Hiszpanii i bitwę pod Raszynem... I bynajmniej nie dlatego, że odtworzył ludzi ówczesnych. Nie!.. Dusze ludzkie, tak, jak je pojął i odtworzył Żeromski, nie znają epok, ani historyi: zawierają coś więcej ponad to, ile potrzeba, by przetrwać jeden moment, czy nawet cały okres historyczny... Więc...?

Jesteśmy w Hiszpanii, w szpitalu. Z barłogów szpitalnych podnoszą się skrawione głowy, potrzaskane w bojach ciała i z pierści żołnierskich dobywa się okrzyk:

— Wiwat cesarz!

[illegible] z legowiska. Coś w nim od [illegible], jak gdyby chrupnęło bez [illegible]niu straszliwie blady, zlany potem, [illegible]vi. Oczy jego, jak kły, werżnęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Stanął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa. Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

Jeśli umrę. [illegible] mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?...

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz... na obcej.. Wyrzecz, że nienadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Może *to* właśnie jest znamiennym rysem ubiegłej epoki i z historyi całej *to* może przedewszystkiem chciał zaznaczyć Żeromski. Myśl, którą wypowiada Cedro, wije się w „Popiołach.“ Niekiedy z morza płomieni i dymu, wybłyska na kształt złotej łuny, rozwidnia na chwilę widnokrąg i gaśnie niemocna. I znowu grają armaty, huczą działa, walą się gruzy, tworzą się bezkształtne rumowiska, zgliszcza i popioły...

Raz jeszcze cofam się do pierwszych stronic dzieła i raz jeszcze szybko myślą je przebiegam. I nie mogę się oprzeć potężnemu wrażeniu piękna, które w trzech tomach „Popiołów“ tętni, przewala się, kłębi, to jak deszcz złoty wytryska, to skrzy się wszystkiemi barwami i szumi całą gamą dźwięków... Myśl biegnie w marzenie... Wspominam język Żeromskiego, tę przepyszną i bogatą mowę, brzmiącą melodyjnie, jak dźwięk potoków górskich, miejscami twardą i głuchą, jak odgłos uderzenia oskardu o skałę z granitu, kipiącą falami rozhukanej rzeki, to posępną i smutną, jak westchnienie sosnowego boru, to znowu barwną i pachnącą, jak rodzime kwiaty naszych pól i łąk. A mowa ta, jak kryształowa wód tafla, odzwierciadla wszystkie gwiazdy, zrodzone pod błękitnym namiotem marzeń wielkiego poety. I długo, długo snują mi się jakieś lazurowe dale, prowadzące w wieczność, jakieś olbrzymie ławice smutku i tęsknoty, krążące po oceanach niedoli człowieczej, jakieś krainy wzlotów podniebnych i czynów tytanicznych. Śnią mi się krwawe boje i walki i zapasy śmiertelne, huczy mi w uszach szczęk broni i granie armat, błyskają jasne zorze, zwiastunki promiennego jutra i wnet nikną, pokryte orszakiem chmur ciemnych..

Zwolna, zwolna dobiegam do kresu. Widzę zwaliska... ruiny... popioły... Wreszcie ostatnia karta i rozdział ostatni p. t. *Słowo honoru.*

W okolicach Orszy, w połowie sierpnia, korpus pod rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego złączył się z wielką armią. Tam odbywała się rewia powszechna. Cedro i Rafał Olbromski spodziewali się ujrzeć cesarza. Ujrzeli go też w samej rzeczy... Wstrzymał się cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Spotkał, wlepione w siebie, oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnem widzeniem rzeczywistości. Przelotny, półsmutny uśmiech spłynął po granitowem obliczu..

Tak kończą się „Popioły.“

Artur Sławiński.

Listy Fryderyka Chopina.

Wielką zasługą sekcyi imienia Chopina przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem jest wydanie „Niewydanych dotychczas pamiątek po Chopinie“ w opracowaniu p. Mieczysława Karłowicza. Listy, pomieszczone w tej książce, wyjaśniają niejedno w zewnętrznych dziejach życia Chopina, oddają całą serdeczność stosunku jego do pozostałej w kraju rodziny i, co najważniejsza, harmonizują z cichą, subtelną naturą artysty, której cała jego twórczość jest obrazem.

Listy obejmują głównie ten okres czasu, kiedy młody muzyk przebywał w Paryżu. Rzucają one pewne światło na jego stosunek do ukochanych kobiet. O wpływie p. Wodzińskiej na jego stronę duchową nic nie mówią, stwierdzając tylko fakt zaręczyn. Choć niektórzy, piszący o Chopinie usiłują pannę W. utrwalić w tęczowych barwach, jakiemi otoczył ją Słowacki, listy artysty przeczą raczej temu. W przeciwstawieniu do gorących strof Juliusza, do pełnych uwielbień opisów niektórych literatów, dziwnie brzmi parę listów, pisanych przez nią do Chopina. Idąc za panującym wówczas zwyczajem, posyła mu ona ciepłe pantofle i sentymentalne wzdychania. Komiczne wprost wrażenie sprawia ustęp, w którym panna W. wyraża po francusku swoje ubolewanie nad tem, że Chopin nie ma czysto polskiego nazwiska. Uczucie młodego poety tonów dla niej musiało być raczej fantazyą artysty, który w bogdankę swą wcielił tęsknotę za tem, co opuścił, za obrazem pierwszych lat dziecięcych, pierwszych marzeń i pierwszych wzlotów. Nie mogło być silne, skoro niedługo po zerwaniu z tą, której rodzina nie chciała wydać „tylko za grajka,“ pokochał inną kobietę; ta zdobyła smętną, melancholijną jego duszę temperamentem natury silnej fizycznie, duchowo nieprzeciętnej. Dziwny kaprys losu zbliżył do siebie te istoty, tak sobie obce. Ona — płomienna, zapalna, unosząca się, on —zagłębiony w sobie, z duszą dziecka, z wieczną w piersi tęsknotą i bólem. W stosunku tym strona mocniejsza tężyzną, bardziej odporna na życie — zwyciężyła. Chopin zaś odszedł przygnębiony, trawiony smutkiem i żalem. Pomimo całej anielskości swojej duszy nie mógł się powstrzymać w listach do rodziny od paru gorzkich słów z powodu postępowania G. Sand z dziećmi, co było powodem ich rozstania.

Jeżeli od szczegółów życia zewnętrznego zwrócimy się ku istocie organizacyi psychicznej Chopina, to należy przy odgadywaniu głębi jego duszy nie tracić z oczu tego, że był on artystą muzykiem. To jedno może nam objaśnić jego psychikę. Listy zaś są tylko środkiem pomocniczym.

Pochłonięty życiem wewnętrznem, w stosunkach z ludźmi był Chopin skrytym, zamkniętym w sobie. Świat melodyi, który stanowił główną treść jego duszy, uzewnętrzniał się nie w mowie lub piśmie, lecz w dźwięku, jako harmonii i rytmie. Tylko dźwięk może wyrazić to słowo, które geniusz muzyczny ma do powiedzenia ludziom. „Gdybym mógł wypowiedzieć za pomocą wyrazów to, com chciał wyrazić w barwach, tobym pędzla nie wziął do ręki“ — powiedział ktoś z wielkich malarzy. Dlatego i listy Chopina same z siebie tak mało mówią. Zamknięty w sobie, na zewnątrz wypowiadał się tylko impro-

[illegible]cya — wybuchem wulkanu melodyi — [illegible]. Cechę improwizacyi nosi cała jego twórczość. Każdy utwór Chopin czuł przedewszystkiem w sobie (Karasowski, t. I, str. 176), później dopiero go pisał. Duch jego w chwilach tworzenia znajdował się [illegible] „w jakiejś dziwnej przestrzeni. Są to zapewne owe espaces imaginaires“ (list do rodziny 20 lipca 1895 r. p. Karł.). O zmroku, siadłszy do fortepianu, [illegible] w muzyce, łkał, skarżył się i [illegible] „Fortepianowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć“ — pisze do przyjaciela (Karasowski, t. I, str. 139). Przy muzyce ukazywały się owe zastępy zbrojne a buńczuczne, to znów orszaki pogrzebowe, to postacie ukochane a oddalone, to marzenia z lat dziecięcych; później linie i kontury się zacierały i słyszał tylko ciche szepty, które przynosiły mu ową [illegible] cudną harmonię, o której śniła dusza jego, smutek i rozpacz poczynały walkę z pragnieniem słońca i pożądaniem wzlotu.

Smutkami swymi Chopin nie dzielił się z nikim; w listach nie skarży się nigdy, usiłuje pisać pogodnie, nawet wtedy, kiedy największy cios go dotknął. Pogrążony w sobie, wobec wszystkiego co z zewnątrz pochodzi, jest dziwnie bezradny i bezbronny. Należy do tych, którzy zapatrzeni w niebiańską swą wizyę, idą przez życie, jak przez marzenie — nie słonecznie jasne, pogodne człowieka-dziecięcia, lecz pełne trosk i bólu, cichego upojenia i całkowitego uduchowienia postaci Botticellego. Jako twórca, zbliżony on jest do samego tętna życia, gdzie wszystko, co trywialne, co przyziemne, co płaskie, zanika i tylko uderza [illegible] wiecznego [illegible] wciąż [illegible] siebie.

[illegible] Chopin [illegible] niezro[illegible]. [illegible] jego smutku z przejawami wesołego humoru. Umiał śmiać się i weselić, bo zbyt wiele słonecznych barw miał w duszy, aby tworzyć sobie ułudy; zbyt wiele siły żywotnej, aby dać się unieść upojeniu radości. W listach jego liczne są ustępy, w których z humorem opowiada o różnych zabawnych zdarzeniach. Widać z nich, że „Frycek,“ jak go nazywano w rodzinie, nie był smutnym od kolebki. W wybuchach humoru przejawiała się cała jego szczera, głęboka, młoda natura, która [illegible] bólu znała i radość istnienia. Dalsze losy przytłumiły tę wesołość. Smutek coraz bardziej brał go w posiadanie; tylko [illegible] niekiedy wesołość powracała na [illegible]. Nietylko w dosłownem znaczeniu [illegible] brać wykrzyki Chopina w liście do [illegible]ny z roku 1845. „Czasem za parę godzin [illegible] parę lat życia“ (Karłowicz, str. 33). Już w latach najpierwszej młodości miewał on przeczucia bliskiego zgonu: „Myślę, że jadę umrzeć“ — pisze do przyjaciela, wyjeżdżając z Warszawy (Karasowski, t. I, str. 172), a pisał to, [illegible]dzo młodym, pełnym sił i nadziei. Wtedy jego wewnętrzne słońce jeszcze nie przybladło, a już czuła dusza smutek, znamię ukochanych przez bogów. Uczucie to tem łatwiej zawładnęło Chopinem, że nerwy jego były wyczulone do tego stopnia, iż przyjmowały najdelikatniejsze drgnienia. Jest on dziecięciem późnego czasu, kiedy każdy odruch strony duchowej człowieka, przedtem dość prosty, rozkłada [illegible] i trwogę. Chopin pod[illegible] drzeniom uczucia, o jakich przedtem nikt nie śnił. Siła jego talentu polegała na wysubtelnieniu odczuwalności do [illegible]ich granic i potędze twórczej, która była w mocy oddać wszelkie nieuchwytne uczucia. Dla nas, którzyśmy przyszli po nim, głos jego jest bliskim i pochodzącym jakby z własnych serc naszych, bo jak każdy duch wielki był on zwiastunem nadchodzącej doby.

Przewodnia nić twórczości Chopina — melancholia, zwiększała się w miarę lat oddalenia od stron, które mu były krajem rodzinnym, gdzie przeżył najmłodsze lata wśród tych, którzy tak blizcy byli jego sercu, oddalenia od tych, których marzeniami śnił, bólem cierpiał, nadzieją się radował, rozpaczą ginął. „Jakaś tęsknotę zostawiły mi (twoje) pola“ (list u Karasowskiego, t. I, str. 168). Na obczyźnie nieraz marzył o powrocie. W ostatnim liście pisze, prosząc szwagra o przyjazd siostry, „kto wie, czy jej nie odprowadzę, jeśli ozdrowieję“ (Karł., str. 71). Myślą wybiegał Chopin często ku swoim. Gdy już nie mógł owładnąć smutkiem, kiedy nawet wśród rodziny, która stała mu się bliską, opanowywało go uczucie samotności, a wszyscy wokoło wydawali się obcymi i cudzymi, siadał do fortepianu i przywoływał wspomnienia. „Wieczór przenuciłem śpiewami z nad Wisły“ (Karł., str. 48).

Pozostałe listy Chopina nasuwają wspomnienie o listach blizkiego mu subtelnością mowy, równego polotem i geniuszem Słowackiego. Jedne i drugie to tylko mają z sobą wspólnego, że podkreślają właściwe wielkim twórcom zamknięcie się w sobie. Żyli oni życiem wewnętrznem, trawieni własnym ogniem, słabli powoli, podczas gdy duch ich potężniał i wyrywał się w zaświaty.

Zbigniew Brodzki.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Przybyszewski: *Śnieg*, dramat w 4 aktach.

„Owy, którzy się nigdy nie spotkacie z prawdziwą twarzą waszego tu stróża, dla których żywot widzialny jest w chacie, a Bóg w błękitach próżnych się zanurza, dla was są próżne tych czynów postacie... Dla innych — ducha ton i straszna burza, owiewająca moją pieśń żałobną, z twarzy do innych rapsodów podobną.“ Od tej pięknej i beznadziejnie smutnej strofy „Króla Ducha“ rozpocząć muszę sprawozdanie z wystawionego w teatrze Rozmaitości „Śniegu.“ Przypomniała mi się ona już dawniej, gdym po raz pierwszy miał sposobność zapoznać się bliżej z najnowszem dziełem autora „De profundis“ i „Nad morzem“; stanęła mi żywo w pamięci teraz, gdym bolesną wizyę Przybyszewskiego zobaczył świeżo w odtworzeniu scenicznem artystów warszawskich, gdym zwłaszcza odczytał dwie czy trzy próby „życzliwe“ krytycznego jej oświetlenia. Dla zrozumienia i odczucia dzieła sztuki, dla wyznaczenia mu właściwego miejsca w rozwoju twórczości artysty, niezbędny jest jednak jakiś — skromny bodaj — zasób dobrej woli, z którą, niestety, gdy mowa zwłaszcza o pisarzach, z tej czy innej racyi sferom pewnym niesympatycznych, coraz rzadziej dzisiaj spotkać się u nas można...

„Śnieg“ zresztą jest istotnie taką właśnie „pieśnią żałobną“ bezbrzeżnie smutnego poety, „z twarzy“ może podobną nieco do jego „rapsodów innych,“ lecz w rzeczywistości i szlachetniejszą, i głębszą, i szersze znacznie widnokręgi ogarniającą, niż jego dramaty poprzednie. Jest on wogóle różny od nich pod wielu względami, a jako taki — stanowi niewątpliwie — wbrew głosom tych, którym niekiedy wygodnie jest udawać ślepotę — zwrot nowy i znamienny w rozwoju talentu swego twórcy.

Nie tragedye i fatalizmy życia płciowego, jak w „Złotem runie“ lub „Dla szczęścia,“ są właściwą treścią tego dramatu, lecz jedno z tych zagadnień odwiecznych, które kiedyś już w gorącem wyznaniu wiary Przybyszewski wskazywał „sztuce nowej“ za cel usiłowań i dążeń. „Po za ciasnem kółkiem świadomych stanów naszego ja — czytamy tam między innemi — jest ocean wewnętrzny, morze tajni i zagadek, kędy się wichrzą dziwaczne burze. Są tam kryjówki Sezama, pełne nieprzerwanych skarbów i cudów i rzeczy w słowa nie ujętych. Ale rzadko, rzadko otwiera się ta głębia przed oczyma człowieka; ślizgamy się dalej po cienkiej skorupie lodu, pod którym spoczywa mistyczne *mare tenebrarum...*“ Jedną z prób takich właśnie sięgnięcia wzrokiem w tę zawrotną głębię tajemniczych praw ducha i bytu jest nowy dramat autora „Gości,“ a jego kształty zewnętrzne, stosunki i postacie, przypominające rzeczywiście niekiedy to lub owo z dzieł poprzednich, to przedewszystkiem symbole czy obrazy rzeczy głębszych i ogólniejszych, o które autorowi chodzi jedynie.

Nie mamy miejsca na bliższe uzasadnienie poglądu naszego, na szczegółowe rozważanie treści i znaczenia „Śniegu,“ więc z konieczności poprzestać musimy na — napomknieniach paru. A przedewszystkiem zasadniczy motyw tragiczny, tkwiący w postaciach Tadeusza i Ewy. W dostępnej dla wszystkich bajce dramatu *on* jest jednym z dwóch ostatnich potomków starego rodu. W duszy jego zespalają się dwa sprzeczne z pozoru czynniki: poczucie potęgi i siły, niepohamowana żądza czynu („Ot, widzisz, jak byłem młody, tom szarpał ziemię z tęsknoty, nie wiedziałem, co począć, bom tęsknił, by spełnić coś tak wielkiego, mocnego i pięknego, czego dotychczas żaden człowiek nie spełnił...“) i ciągła groza, wieczna obawa tej „strasznej, piekielnej nudy rodowej,“ która już kiedyś kładła się na jego duszy, jak ciężka zmora. Zmęczony zawodami życia, zniechęcony i rozgoryczony, znalazł on wypoczynek i ukojenie chwilowe przy boku serdecznej, kochającej, tkliwej, nerwowej i kobiecej nawskroś Bronki, tego białego, czystego śniegu, który „na zmarzłą grudę ziemi opada, ugrzeje, otuli tego trupa, dopóki nie odżyje, budzić się nie pocznie i z ciepłego już łona, z ziarn, zda się zmarzłych ziarn, nowe, świeże kiełki puszczać pocznie.“ Ewa to tylko dawna przyjaciółka Bronki, która przed laty ciągnęła i odpychała Tadeusza, a teraz, podrażniona jego oporem i budzącym się poczuciem siły, pragnie go posiąść nanowo, oderwać od żony i domu, zabrać wyłącznie dla siebie, choćby po trupie szczęśliwszej rywalki.

Ale nietrudno zrozumieć, że bajka ta cała to tylko łupina zewnętrzna, pokrywająca właściwe jądro dzieła, wyzierające zresztą co chwila z pod osłon przypadkowych, jak kwiat z poza kryjącej go zielonej gęstwy liści. Tadeusz to człowiek współczesny, człowiek zresztą, *prawdziwy człowiek* wogóle, ze swą odwieczną żądzą czynu, z duszą, uniesień pełną, któremu w żaden sposób wystarczyć nie mogą na długo „ciche zakątki, miękkie dywany, wesołe kominki,“ nawet obok istoty takiej dobrej, takiej kochającej i miłej, jak Bronka. A Ewa, ten lęk i przerażenie Bronki, prowadząca ją przez owładnięcie Tadeuszem w czarną otchłań rozpaczy i w straszną przerębel jeziora, ta Ewa, tak dziwnie tłumaczona przez sprawozdawców niektórych, nie jest nawet naprawdę postacią zagadkową. Wszak Kazimierz nazywa ją wyraźnie w jednej ze swych pięknych rozmów z Bronką „piekielnem pragnieniem jakiejś wielkiej mocy i potęgi, niepokojącą tęsknotą, która Tadeusza rwała zawsze wzwyż, wzwyż ku niebu“ i na chwilę tylko w duszy jego przycichnąć mogła. Dla jednych taką Ewą, nie przestającą powtarzać głosem przeznaczenia: „Dla ciebie? — ja — tylko ja — jedyna ja“ — może być sztuka, odwieczne źródło udręczeń i rozkoszy

twórczych, dla innych — niewydarte naturze tajniki wiedzy, dla innych jeszcze — żądza zwycięztw, podbojów, pragnienie dokonywania odkryć, wynalazków, dla każdego, słowem, dla każdego zwłaszcza zupełnego i prawdziwego człowieka — to coś, co go odrywa od utartych szlaków życia i — *per vetitum nefas* — kieruje nieprzeparcie do sezamów zamkniętych, na szczyty niebotyczne, do słońc i ponad słońca... Nie do każdego zapewne głos ten przemawia tak potężnie, jak do bohatera „Śniegu," nie zawsze rodzi tragedye, lecz w niejednej duszy współczesnej budzi niezawodnie rozterkę i jest wiecznem źródłem niezadowolenia z rzeczywistości, cichym dramatem życia, w tak małym stopniu zaledwie odpowiadającego zazwyczaj najgłębszym naszym pragnieniom, najlepszym porywom ducha.

„Istota symbolizmu — powiedział Przybyszewski w jednej z rozpraw swoich — a zatem istota wszystkich nowych kierunków literackich — jest to dążenie do syntezy. Człowiek, który jest w stanie świat w sobie od nowa w nowej potędze i piękności odtworzyć, który po za przypadkową zjawą rzeczy widzi odwieczną ciągłość istoty bytu, ten jest twórca — a wszystko reszta to tylko literatura." W żadnym może z dzieł swoich autor tego dumnego paradoksu nie zbliżył się w tym stopniu, co w „Śniegu" właśnie, do pojmowanego w ten sposób ideału sztuki, w żadnym nie jest tak wierny sobie, jak w tym dramacie. Dla czytelnika lub widza zwykłego to wszystko, co się tu dzieje, może mieć charakter przypadkowy i zmienny, autor jednak widzi w tem przedewszystkiem przejawy czegoś zasadniczego i wyższego, tej właśnie „odwiecznej ciągłości istoty bytu," która [illegible]

W jakim stopniu jednak symbole jego żyją czasem życiem osobistem, z jaką siłą plastyki przemawiają do wyobraźni — świadczy najlepiej przepiękna postać Bronki. Porównana śniegu, do tulącego miłośnie skrzepłą ziemię, by w niej zdolność do życia nowego rozbudzić, jest ona symbolem tego wszystkiego, co na chwilę krótszą lub dłuższą oderwać nas może od zasadniczych celów i dążeń naszych, dać nieco radości, światła i ukojenia duszy, skołatanej wśród burz życiowych. Jednocześnie jednak ta sama Bronka — to uroczy kwiat kobiecości, postać żywa, najpiękniejsza w „Śniegu," a zakończony tak smutno dramat jej czystej, niewinnej duszy, cała ta dusza zresztą, promienna i jasna, jak słonce, pociąga nas i wzrusza do głębi. W galeryi postaci kobiecych Przybyszewskiego zajęła ona odrazu miejsce odrębne, od którego bije jakaś aureola czystości i piękna, niespotykana dotąd u tego pisarza. Proste, szlacheckie dziewczę, jak się sama nazywa, nerwowa i przeczulona mimoza, jak o niej mówi Ewa, jak ptak bije skrzydłami o ziemię, pragnąc się wzbić w niebiosa, lecz skrzydła jej cieżą, jak ołów, bo na nich osiadło nieszczęście. Jak ptak zlękniony, tuli się do Tadeusza ze skargą cichą: „Nigdzie spokoju, nigdzie spokoju znaleźć nie mogę... Tadziu, Tadziu, co się z nami stało?..." „Widzisz, ja tego wszystkiego nie rozumiem, ja tylko umiem *czuć*" — mówi gdzieindziej, i w tem jednem zdaniu streszcza się cała jej tkliwa, uczuciowa nawskroś natura kobiety-kwiatu, umiejącej tylko kochać i uszczęśliwiać lub cierpieć i bez walki prawie ustąpić z rezygnacyą — na dno jeziora.

Jest to nietylko najpiękniejsza, ale i najplastyczniejsza postać „Śniegu," a przyznać trzeba, że pani Tekla Trapszo, która ją odtworzyła na scenie, nie uroniła nic z tego czaru, jaki płynie od Bronki od pierwszych do ostatnich scen dramatu. Nie można tej samej pochwały oddać innym wykonawcom sztuki, z wyjątkiem tylko p. Barszczewskiej w roli Makryny (niańki i śmierci w jednej osobie), oraz p. Bednarczyka w epizodycznej roli służącego. Pp. Nowicki i Wostrowski mieli dobre szczegóły, ale szczegóły tylko. Pierwszy przejął się zbyt rzekomą siłą pięści Tadeusza, by módz odtworzyć naprawdę głęboką ranę jego chorej duszy. Drugi był przeważnie sobą tylko, nie zaś „bezdennie smutnym" Kazimierzem, który kocha Bronkę, a jednocześnie gardziłby nią, gdyby mu ruchem jednym wzajemność okazała, któremu po za tem „wszystko jedno, czy tu, czy tam nudzić się będzie." Właściwszym zapewne byłby dla roli tej p. Śliwicki. I pani Marcello, zbyt po swojemu, zbyt po ziemsku pojąwszy tragiczną postać Ewy, nie zdołała nadać jej cech, o które tu przedewszystkiem chodziło. A szkoda, bo tylko wyborna i zestrojona w zupełności gra artystów mogłaby nie obniżyć w teatrze tego wrażenia, jakie „Śnieg" wywiera w czytaniu.

Wł. Bukowiński.

NOWE KSIĄŻKI.

Podręcznik zoologii dla młodzieży od lat 10 do 14, napisał Józef Nussbaum, profesor uniwersytetu we Lwowie, z 283 rysunkami w tekście, wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. Kraków, nakład Gebethnera i Spółki; Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904 r. Cena 4 rb. 80 kop.

Ogólny układ tego drugiego wydania w porównaniu z pierwszem, już wyczerpanem, został prawie niezmieniony.

Główna różnica polega na tem, iż obecnie usunięto dwa ostatnie rozdziały, traktujące o stosunku organizacyi zwierząt do przyrody, otaczającej oraz o zwierzętach pożytecznych i szkodliwych, a odpowiednie fakty i uogólnienia rozmieszczono w odpowiednich rozdziałach książki. Dodano natomiast krótkie rozdziały o człowieku oraz o budowie mikroskopowej ciała zwierzęcego. Liczne bardzo rysunki zastąpiono tu lepszymi oraz dodano znaczną liczbę zupełnie nowych.

Rozwijające się u nas coraz bardziej samouctwo znajduje w podręczniku tym bardzo cenną książkę dla rozpoczynających naukę zoologii; przytem stanowić ona może doskonałe uzupełnienie nauki szkolnej tego przedmiotu. *K. K—c.*

— Adolf Strzelecki: **Z życia Chopina**, szkic z profilu. Warszawa, nakład Jana Fiszera, 1903.

Dość udatny szkic psychologiczny, napisany językiem przyjemnym i płynnym. Autor nie daje nam nowego ujęcia postaci poety-muzyka, lecz umiejętnie grupuje w harmonijną całość to, co już o Chopinie powiedziano. Za punkt wyjścia użyte jest usiłowanie dowiedzenia, że p. Wodzińska była jedyną miłością mistrza. Czy to przez patryotyzm?

NA MARGINESIE.

Mleko i tuberkuły. Karol Flügge, profesor uniwersytetu wrocławskiego, krytykując w niemieckim tygodniku medycznym teorye Behringa, tyczące się uzdrowotnienia mleka zakażonego zarazkami tuberkulicznymi, twierdzi, że używanie w tym celu formaliny, nietylko nie jest dostatecznie uzasadnionem, lecz w wysokim stopniu wzbudzającem obawę. Nawet w stosunku 1 : 5000 formalina dodawana stale do pokarmu niemowląt nie może być przyjęta za zupełnie nieszkodliwą; zauważono już bowiem na trojgu dzieciach, które codziennie spożywały 500 ccm. mleka z formaliną w stosunku 1 : 10000 i 1 : 5000, szkodliwy jej wpływ na trawienie.

Powtóre: obecność formaliny w mleku nie może zastąpić gotowania, przez które osiągaliśmy dotąd jego oczyszczenie z różnych ciałek specyficznych, mogących chorobliwie oddziałać na ludzi, gdyż formalina nie zabija szkodliwych zarazków w tym stosunku, co gotowanie. Trzebaby więc pozbywać się ich inną drogą. Behring też za najpewniejsze uważa mleko, otrzymywane od krów zdrowych, wydojone z zachowaniem wszystkich warunków aseptycznych i przechowywane w nizkiej temperaturze. Takie mleko z dodatkiem formaliny nie byłoby już jednak ze względu na cenę sprzedażną dostępne dla szerokiego ogółu, który przeto w dalszym ciągu widziałby się narażony na spożywanie w większości wypadków produktu, pochodzącego od krów chorych i otrzymanego w warunkach wiele do życzenia pozostawiającej aseptyki lub przechowywanego w zbyt wysokiej temperaturze. A w takim razie obecność formaliny nie mogłaby zastąpić przegotowania. Po trzecie, niemożliwość dokładnego skontrolowania ilości dodanej formaliny otwiera pole do nadużyć i fałszowania mleka.

W dowodzeniach Behringa na punkcie walki z tuberkułami największe znaczenie mają specyficzne ciałka, których obecności w mleku krów uodpornionych dotąd jeszcze nie zauważono. I samo uodpornienie dla ludzi w tym kierunku zdaje się być pozbawionem znaczenia; słowem, mleka krowiego nie należy uważać za źródło zła, dziesiątkującego ludzkość.

Elektryczność i sen. Ciekawych szczegółów dostarczają badania nad wywoływaniem snu przez elektryzowanie. Ziemssen dowodzi, że mózg jest najlepszym w ciele ludzkiem przewodnikiem elektryczności, 3,000 razy przewyższającym mięśnie pod tym względem. Dotychczas lękano się używać elektryczności w leczeniu chorób mózgowych; przekonano się już jednak, że jeśli prąd puszczony z jednego ucha do drugiego wywołuje zawrót, podczas którego wszystkie przedmioty kręcą się, jak gdyby umieszczone na kole, to prąd idący od czoła do karku nietylko jest zupełnie nieszkodliwy, ale nawet w skutkach dobroczynny. Podniesiony w ciągu 5 minut do natężenia 5 tysięcy amperów i utrzymany w tej sile przez drugie 5 minut z elektrodami przyłożonymi do czoła i do karku, zwiększa siłę mięśniową o 6—8%.

Stwierdzono również, że doskonałym środkiem na wywołanie snu jest prąd 4 tysięcy amperów 30 wolt, przerywany 100 razy na sekundę. Naprzód traci się mowę, potem zdolność ruchu bez najmniejszej zmiany w oddychaniu i pulsie, jeżeli elektryzacya została utrzymana w granicach wskazanych. Natychmiast po skończeniu elektryzacyi operowany budzi się sam z siebie z uczuciem niewysłowionej błogości.

Zjazd w Weimarze. Ciekawy skutek wywołał coraz bardziej wrogi stosunek cesarza Wilhelma i urzędowych sfer pruskich do sztuki modernistycznej i jej objawów. Niedawno w Weimarze odbył się zjazd przedstawicieli i członków 60 niemieckich, secesyonistycznych związków artystycznych, na który przybyło wielu najwybitniejszych artystów, estetyków i kierowników muzeów, jak Klinger, Uhde, Liebermann, Haberman, Leistikow, Kalkreuth, prof. Lichtwark, Bode, Pauli i t. d. Pod mianem „Secesionistischer Kunstverband" utworzono jedną, ogólną organizacyę, w której skład weszły wszystkie pojedyncze koła i związki. Celem jej — obrona interesów i możliwie szerokie rozpowszechnienie dążeń i ideałów niezależnej sztuki współczesnej. Na czele komitetu, kierującego sprawami stowarzyszenia, stoi artysta-malarz, hrabia Kalkreuth.

P. K.

Z PRASY.

— *Kijewsk. Otkl.* zamieszczają następujące wezwanie do jednowierców, podpisane przez „Żyda“.

„Jednowiercy moi! Przeżywamy straszne dni, groźne dni, głęboko tragiczne chwile! To istne sądne dni. Dni Jom-kipuru! Dziś zapomnieć powinniśmy o wszystkiem. Czuć i pamiętać winniśmy tylko jedno: nad Rosyą zawisło nieszczęście! Okażmy się godnymi synami ojczyzny, uczciwymi wykonawcami moralnego długu naszego, stróżami biblijnych tradycyj naszych i świętych proroków. Na ojczyznę naszą spadło ciężkie nieszczęście — straszna wojna! Czyż my nie pójdziemy w jednym szeregu zgodnie i mężnie z całym narodem rosyjskim? Czyż nie podzielimy losu i trudów, niedostatku i smutku, jęku i bólów, które niezbadanym wyrokom Opatrzności podobało się zesłać na ojczyznę naszą? Nietylko jednak post i modlitwy podobają się Panu Bogu, ale i uczynki. Nie będę wyliczał, co teraz czynić należy. Każdy w miarę sił i możności wie, co może i powinien złożyć na ołtarzu ojczyzny. Złóżmy dowód, że jesteśmy godnymi i równymi [illegible]mi narodu, wśród którego mieszkaliśmy, mieszkamy i mieszkać na pewno będziemy. Z nim, dla niego, dla nas! Bóg niech was błogosławi.“ (*Wiek*).

— W *North American Review* A. White wyraża przekonanie, że kwestya żydowska może zostać rozwiązaną tylko drogą międzynarodowego porozumienia. Przedtem jednak Rosya i narody anglosaskie muszą przedewszystkiem załatwić tę sprawę między sobą, zanim przyjdzie do ogólnych narad. Rosya, Anglia i Ameryka powinny się na to zgodzić, że pierwsza ofiaruje terytoryum, a dwie ostatnie pieniądze potrzebne dla osiedlenia na niem nadmiaru ludności żydowskiej. Zawiązkiem tego kapitału mógłby się stać majątek Stowarzyszenia dla kolonizacyi Żydów, powstały z ofiar bogatych Żydów i chrześcian wszelkiej narodowości.

— O. Lodge w *Contemporary Review*, krytykując surowo obecny system nauczania w szkołach publicznych w Anglii, domaga się, ażeby przedewszystkiem zwrócono na to uwagę, jaki z nauki tego lub owego przedmiotu może wyniknąć pożytek. Czy można — pyta on — korzystać z obecnej nauki języków nowożytnych? Dlaczego studyowanie języków starożytnych ma być obowiązkowe i tak prowadzone, jak gdyby każdy z uczniów miał z nich uczynić przedmiot swej specyalności? Przedewszystkiem winno się dzieciom dać wyobrażenie o wielu rzeczach, o alfabecie greckim, a [illegible] hebrajskim, o astronomii, geologii itp. Naprzód wzbudzić w dziecku zaciekawienie, a następnie dostarczyć mu informacyj lub wskazać, jak je ma samo zdobywać, sprawdzać i systematyzować.

W początkowem nauczaniu żąda O. Lodge wdrażania dzieciom grzeczności w domu i na ulicy, i przejmości tak w omnibusie, jak na chodniku, która w późniejszym wieku wszystkim na [illegible] na dobre wyjść musi. Obecnie ten brak wychowania w masach boleśnie każdemu w miejscach publicznych uczuć się daje. Dalej domaga się tresury fizycznej na wszelkie wypadki w życiu: jak uniknąć paniki podczas pożaru, jak ratować tonącego; wreszcie wskazuje potrzebę ogólnej znajomości zasad hygieny i fizyologii: jak i czem się oddycha, jak się należy [illegible], dlaczego staranie ciało swoje utrzymywać.

KRONIKA.

W skutek choroby p. Aleksandra Świętochowskiego *Liberum veto* przez pewien czas dawać nie będziemy.

Wiadomości społeczne. Zawiązuje się w Warszawie [illegible] felczerów, w celu udzielania doraźnej pomocy członkom i ich rodzinom w razie choroby, niezdolności do pracy lub nieszczęśliwych wypadków, oraz dopomagać im w kształceniu dzieci. Członkami mogą być wszyscy zajmujący się praktyką felczerską w Warszawie i na prowincyi.

— Ze sprawozdania komitetu Kasy Literackiej dowiadujemy się, że z odczytów urządzonych na rzecz powodzian zebrano rb. 12,108, 70 k. Ze sprzedaży programów, z naddatków, po włączeniu przysłanych z Chicago na ręce Sienkiewicza rb 1,356, 42 kop. ta suma podniosła się jeszcze do wysokości rb. 17,392, 69 k. na [illegible].

— Na kolonie letnie zapisało się w Warszawie ogółem 6,644 dzieci — 4,732 chrześcian i 1,912 Żydów.

— Na obradach komisyi do spraw żydowskich, odbywającej posiedzenia w Petersburgu uchwalono: 1) pozostawić nadal dotychczasową „granicę osiedlenia,“ wyznaczoną dla Żydów w Cesarstwie; 2) Królestwo Polskie włączyć do tej granicy i wzbronić tutaj Izraelitom nabywania ziemi; 3) jeżeli włościanie jakiej wsi poproszą o zezwolenie na zamieszkanie w niej Żydom, to należy zadość uczynić tej prośbie; 4) zezwolić na dzierżawienie ziemi włościańskiej przez Żyda do wysokości dziesięciny na członka rodziny, przyczem dzierżawca musi się podpisać, że nigdzie nie ma takiej dzierżawy i starać się o nią nie będzie; 5) założyć w Warszawie i Odesie szkoły wyższe dla Izraelitów, z warunkiem, że tylko chrześcianie będą tutaj profesorami; 6) zamieszkali za „granicą osiedlenia“ na prawach wyjątkowych Izraelici nie mogą sprowadzać do siebie z „granicy“ współwyznawców, jako oficyalistów.

— Postanowiono znieść jawny dozór policyjny za przestępstwa polityczne nad tymi, którzy wstąpią do armii czynnej jako szeregowcy.

— Gubernator kijowski ogłosił przepisy, grożące karami administracyjnemi, do 3 miesięcy aresztu lub 500 rb. grzywien, uczestnikom zbiegowisk ulicznych i zebrań nielegalnych w domach prywatnych i instytucyach publicznych. Tym samym karom ulegną właściciele mieszkań, gdzie się odbywają zgromadzenia nielegalne.

— Komitet Czytelni akademickiej imienia Adama Mickiewicza wniósł do rady m. Krakowa pismo z prośbą o udzielenie zapomogi na sprowadzenie zwłok Słowackiego do kraju. W podaniu komitet zaznacza, że w czasie tegorocznej wiosny zamierza ostatecznie projekt doprowadzić do skutku. (*Kur. Warsz.*).

— Z Krakowa donoszą, że kardynał Kopp zażądał w Rzymie unieważnienia małżeństwa Korfantego.

— Sąd najwyższy w Berlinie, *Kammergericht*, zatwierdził rozporządzenie policyi, skazujące na kary pieniężne cyklistów, którzy podczas powitania ks. biskupa Likowskiego w Obornikach, w W. Ks. Poznańskiem, włożyli na siebie szarfy niebiesko-białe. W motywach podano, że podobne używanie oznak niekrajowych zaostrza różnice między narodowościami i prowadzi do zakłócenia porządku.

— Prezydent policyi berlińskiej wezwał wszystkie cechy rzemieślnicze, aby nakłaniały swych członków do osiedlania się w prowincyach wschodnich dla wzmocnienia niemczyzny, a zarazem wręczył im wykaz odpowiednich na ten cel miejscowości.

— Rada m. Pragi postanowiła ponakładać kary pieniężne na kobiety, które na ulicach, a zwłaszcza w parkach powodują powstawanie kurzu długimi trenami przy sukniach.

— W Dodsville, w stanie Mississippi, spalono żywcem na stosie murzyna i murzynkę, podejrzanych o zamordowanie białego człowieka. Tłum ujął ich, ukrytych w moczarach okolicznych, przyprowadził na miejsce spełnionej zbrodni, uwiązał do słupa, wkopanego w ziemię i otoczonego drzewem, oblał naftą i podpalił.

Szkoły i wychowanie. *Warsz. Dn.* ogłasza: „Po wydaniu przez ministeryum oświaty w r. 1887 okólnika o przyjmowaniu do średnich zakładów naukowych dzieci Żydów w ograniczonej liczbie do 10% ogółu uczniów, zaczęły się zdarzać coraz częstsze wypadki przystępowania do wiary prawosławnej dzieci żydowskich, przyczem rodzice ich pozostawali w dawnej wierze. Z tego względu jeden z naczelników eparchialnych zwrócił się do Synodu Najświętszego o wskazówki w sprawie udzielania chrztu takim dzieciom. Z uwagi na to, iż prawo pozwala na chrzest nieletnich Żydów według obrzędów cerkwi prawosławnej, za zgodą rodziców, wyrażoną na piśmie, Synod Najświętszy nie znalazł podstawy do odmawiania dzieciom przyłączenia ich do cerkwi prawosławnej z tej racyi, że rodzice ich, którzy złożyli piśmienne swe przyzwolenie, pozostają w wierze żydowskiej; przytem uznano, iż ze strony nauczycieli religii powinny być przedsiębrane środki utwierdzenia takich dzieci w zasadach wiary chrześciańskiej, aby już nie chciały odpaść i powrócić do dawnej wiary.

— *Now. Wr.* donosi, że w politechnice tomskiej przerwano wykłady z powodu powołania wielu profesorów do służby czynnej w armii.

— W uniwersytetach szwajcarskich na wydziale medycznym studyuje 1,654 osób, w tej liczbie 891 kobiet.

— W uniwersytecie odeskim pozwolono na założenie pierwszej korporacyi studenckiej w celu samopomocy moralnej i materyalnej, łączności towarzyskiej, samokształcenia i rozrywek pożytecznych.

Literatura i prasa. Zabroniono wydawnictwa tyflískiej gazety gruzińskiej p. t. *Kwali*, wychodzący zaś w Jekaterynosławiu *Wiestnik Juga* zawieszono na 6 miesięcy.

Ze sztuki. Zatwierdzony został skład profesorów szkoły artystycznej w Warszawie: dyrektorem będzie p. Kazimierz Stabrowski, kierownikami działów pp. F. Ruszczyc, K. Krzyżanowski, K. Tichy i B. Dunikowski.

Sprawy ekonomiczne. W celu podniesienia rozwoju chmielarstwa ministeryum rolnictwa i dóbr państwa uznało za pożądane wprowadzenie następujących ulepszeń: 1) urządzenie kursów i zajęć praktycznych dla nauczycieli szkół ludowych, plantacyj chmielu przy szkołach ludowych, posiadających grunt odpowiedni; 2) utworzenie trzech stacyj hodowli chmielu, jedna dla rejonu chmielarskiego centralnego i północnego, i po jednej w rejonie Królestwa Polskiego [illegible] za granicę chmiel w wysokości rb. 7 kop. 50 w złocie od puda; takiegoż cła na łupież i ekstrakt chmielu; 4) chmiel przywożony z zagranicy powinien być stemplowany w komorach celnych jako produkt zagraniczny; 5) koniecznem jest złagodzenie przepisów akcyzy i ograniczeń handlu piwem, zwłaszcza dla piwiarni z wypiciem na miejscu; 6) przewóz chmielu kolejami powinien odbywać się ładunkami pośpiesznymi [illegible].

— W roku bieżącym mają być urządzone w państwie rosyjskiem 174 wystawy rolnicze; dwie z nich odbędą się w Królestwie Polskiem, w Rypinie i Wołkowyszkach.

— Rząd rosyjski zamierza zrzec się udziału we wszechświatowej wystawie w St. Louis, gdyż kupcy odmówili wysyłania tam swych okazów. Miejsce opróżnione chcą zająć Japończycy.

— *Gaz. Losowań* donosi, że pod egidą Banku Państwa utworzył się w Petersburgu, syndykat banków, celem zakupienia na rachunek wspólny wszystkich papierów, ofiarowanych na giełdach niżej faktycznej wartości. Podobny syndykat, zawiązany przed laty czterema z powodu niewypłacalności von Derwiza, dał interesowanym jak najlepsze rezultaty.

Koleje i komunikacye. Kolej Zabajkalska przestała przyjmować posyłki, ważące więcej niż 75 pudów, Syberyjska zaś przyjmuje ładunki w miarę możności.

— Na zjeździe inżynierów w Petersburgu, pp. Maksimowicz, naczelnik warszawskiego okręgu komunikacyj i Ćwikiel, inspektor Wisły odczytali referaty dotyczące tej rzeki. Zdaniem ich spadek Wisły przewyższa pięciokrotnie spadek Wołgi, a prawie trzykrotnie spadek Dniepru. Ilość opadów atmosferycznych w górze rzeki dochodzi rocznie do 1000—1200, co właśnie jest głównym powodem częstego tworzenia się zatorów lodowych. Na całej przestrzeni Wisły w Królestwie niema schronienia dla statków podczas zimy, niema portów ani przystani dla ładowania, gdy w Prusach istnieje 5 schronisk zimowych, 8 portów i 10 przystani wyładunkowych.

OFIARY.

Na powodzian. P. W. z gub. Kowieńskiej rb. 60; P. Dembowski z Kaachki rb. 10.

OGŁOSZENIA.

NADESŁANE.

W nr. 6 *Prawdy*, w dziale ogłoszeń zamieszczono „nadesłany" artykuł p. St. Staniszewskiego, adwokata z Suwałk. Autor tego artykułu staje gorąco w obronie jakoby zmaltretowanej przeze mnie inteligencyi miejskiej na prowincyi. Według niego inteligencya owa to zbiór idealnych jednostek, które swoją pracę, czas i serce ofiarują na usługi ogółu; wszyscy oni — owi adwokaci, doktorzy, urzędnicy — mają serca pełne umiłowania ludzkości i własnego społeczeństwa; mają dusze, których nie tknął ów straszny wróg, podcinający skrzydła Ikarom — filisterstwo. Kiedyś, kiedyś ze stolic szli oni „na głęboką prowincyę," aby niecić tam ogień zapału i uczuć wszechludzkich; dzisiaj wszędzie — w strażach ogniowych i towarzystwach dobroczynności, w lombardach i ochronkach — pracują oni dla ukochanej przez siebie ludzkości.

Zaiste trudno jest o bardziej optymistyczny pogląd na inteligencyę prowincyonalną. Nie trzeba nawet mieszkać osobiście na prowincyi, — dość czytać korespondencye prowincyonalne w poważniejszych tygodnikach, aby stwierdzić, że p. St. albo jest bardzo niedawno na prowincyi i krytycznie patrzeć na sprawy nie umie, albo też, że w swej obronie „przeholował." Sunt certi denique fines quos ultra citraque nequit [illegible] Horacy. O tej zasadzie zapomniał prawdopodobnie p. Staniszewski.

Jeśli i w Warszawie filisterya omnipo[illegible] rzeczywiście niema co mówić o prowincyi. Tylko tam mogły wyrosnąć typy dr. Oboreckich i adwokatów Koszczyckich. Tylko tam zdala od fal i prądów świata można zgnuśnieć i zwyczajną sadzawkę uważać za przestwory morskie. Tam i tylko tam można zrzucić z siebie łuskę młodzieńczych zapałów i przemienić się w zwyczajnego zjadacza chleba. Ten fakt pozostanie faktem, pomimo najgorętszych obron jednostek w rodzaju p. Staniszewskiego. I pisząc o takich ludziach miałem zupełną słuszność mówić, że stracili ducha, albo nigdy go nie mieli, że są „najnędzniejszymi z nędzarzy tej ziemi"; nie masz bowiem w nich tego, co stanowi *człowieka*. Nie przeczyłem i nie przeczę, że na prowincyi są jednostki, które tego ducha nie zgubiły w walce o byt i wśród martwoty prowincyi. Ilość ich jednak jest tak mała — tak śmiesznie mała, że w rachubę przyjmowaną być nie może. A wprost do humorostycznych ustępów repliki p. Staniszewskiego zaliczyć można jego twierdzenie, że są ludzie, którzy szli na głęboką prowincyę „z wiarą, że zasiłek duchowy, który zdobyli w stolicach, powinni zużytkować wśród tych, którzy dzielili się z nimi wszystkiem, aby zdobycie tego zasiłku duchowego im umożebnić." Niech p. St. rozejrzy się wśród swych współobywateli, niech spojrzy na nich okiem nieuprzedzonem a przyzna mi słuszność. Wszyscy ci panowie szli „na głęboką prowincyę," bo gnała ich ze stolic nędza, a na prowincyi czekały wolne placówki do zarabiania pieniędzy. Szli — owiani jak najlepszemi nadziejami, niosąc może w sercach swych życiodawczy ogień i moc. Co z tego ognia się zostało? Czy moc nie osłabła? Śmieszne pytania.

Prawda — p. St. pisze — że takich ludzi można znaleźć w szpitalach prowincyonalnych, w lombardach miejskich, w ochronkach i spółkach spożywczych... Ale pewnie zgodzi się i z tym, że aby założyć lombard, ochronkę, spółkę spożywczą — nie trzeba koniecznie iść na prowincyę „z wiarą że zasiłek duchowy..." itd. Życie, panie St., krzyczy zbyt głośno o swe prawa, stosunki społeczne są krzycząco nienormalne, aby na jakie takie unormowanie tych stosunków trzeba było aż ludzi o uniwersyteckiem wykształceniu, do zadość uczynienia tym potrzebom nie trzeba koniecznie *ludzi*, mogą to zrobić nawet zwyczajne pionki na szachownicy życiowej; nawet i te panie, które stale wahają się między małomiasteczkową plotką a konfesyonałem...

„Bo my o snach młodości nie zapomnieliśmy"... „zapał nasz nie zgasł"... „idee również nie zmalały" — pisze p. St. Powtórzyć tutaj można wyrazy Hamleta: „Słowa, słowa, słowa" od człowieka obdarzonego rozumem i wolą, a przytem obdarzonego pewnym zasobem inteligencyi, wymaga się czegoś więcej ponad spełnianie swych obowiązków w lombardach, ochronkach i strażach ogniowych: trzeba aby był człowiekiem, jak powiedział Terencyusz, i aby nic człowieczego nie było mu obcem. Trzeba tego ognia i tego zapału, jaki był w nas za czasów młodości; trzeba obejmować szersze horyzonty, niż horyzonty własnego powiatu lub guberni; trzeba iść w pierwszych szeregach w pochodzie ludzkości, a jeśli siły nie pozwalają — przynajmniej nie tracić ich z oczu. Niech [illegible] czeniu i niech w wolnych od zajęć chwilach przeczyta sobie prześliczny wiersz Konopnickiej: „Połóż rękę na sercu"; a może wtedy przyzna mi słuszność, żem takich ludzi, jakich pełno ma prowincya - nazwał „najnędzniejszymi z nędzarzy tej ziemi."

Teraz kilka uwag osobistych. P. [illegible] kreował mię geniuszem na Warszawę i zrobił przypuszczenie, że wzorowałem się na inteligencyi Warszawskiej — przypuszczenie bądźcobądź obraźliwe dla tej inteligencyi. Niestety! inteligencyę warszawską znam bardzo mało, ale te odłamy, które znam, znam z jaknajlepszej strony. Los rzucił mię, jak i p. St. „na głęboką prowincyę," gdzie muszę zarabiać w sposób przez niego opisany. Stykałem się z inteligencyą miejską i stykam na każdym kroku i mógłbym dużo opowiedzieć panu St., jak owa idealna inteligencya szykanowała mię z racyi prostej niezależności sądu — jaki ośmieliłem się wydać o niej w kilku korespondencyach i artykule, o którym mowa; ile szpilek, ile gorzkich i cierpkich słów, ile pogróżek otrzymałem z tej racyi. Nie dziwiłem się jednak im, jak nie dziwię się panu St., że w swej replice postąpił sobie względem mnie w sposób niegodny jego jako adwokata i mnie, jako lekarza. Mógłbym odwzajemnić się: mógłbym tytułować go również w cudzysłowie, jak on mnie tytułował „pan „Dr" i mógłbym wyrazić również — zdziwienie — może bardziej uzasadnione, że pan St. ośmielił się podpisać pod swą repliką: adwokat. Nie chcę jednak bawić się w podobne „kawałki," pozostawiając panu St. jego wewnętrzne zadowolenie ze zniweczenia przeciwnika.

Jedną tylko dam radę p. St.: niech na przyszłość w każdym razie, szczególnie w replikach ad personam, okazuje więcej zastanowienia, taktu i grzeczności. Będzie to z zobopólnem zadowoleniem.

Dr St. Wąsowski.

Siedlce.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Февраля 904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.